MYŚL NARODOWA



TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 47. WARSZAWA, 5 LISTOPADA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

GŁĘBSZE PRZYCZYNY

ROZPRYSŁY się marzenia pewnych sfer, dające się streścić w słowach Wyspiańskiego: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna". Wieś polską ogarnęły głębokie niepokoje, których wyrazem są procesy o rozruchy chłopskie. Rozprawy sądowe o zajścia w Małopolsce środkowej toczą się już przez kilka tygodni. Jak wynika z przebiegu procesów, rewolty chłopskie w niektórych wypadkach zamieniły się niemal w bitwy z policją. Zupełnie przytem podczas ostatnich wystąpień nie wysuwali chłopi żądań ani haseł natury społecznej. Nikt nie nawoływał do marszów na dwory, czy do walki z miastami. Przytem w wystąpieniach wzięli udział gromadny włościanie, bez różnicy partyj, a nawet członkowie i kierownicy organizacyj, pozostających pod komendą ludzi „pomajowych". W zajściach grodziskich i w Wólce pod Lasem, gdzie wybuchy miały najskrajniejsze rozmiary, decydującą rolę odegrali członkowie „Strzelca". Widocznie nastroje na wsi są tak jednolite, iż ogarnęły wszystkich jej mieszkańców i doprowadzały przy lada sposobności do wybuchu. Jeden ze świadków na procesie grodziskim, gdy go zapytano o bezpośrednie przyczyny rewolty, odpowiedział: „tego nikt nie organizował, to się zapaliło od słońca. Później już człowiek od człowieka się rozpalał i tak szło dalej". Lada przypadek doprowadzał do zaognienia. Sekwestrator, zakaz strzelania z moździerzy na procesji, aresztowanie księdza, czy drobna kradzież drzewa z lasu, stawały się bezpośrednią przyczyną wybuchu. Jasną jest rzeczą, iż przyczyny zła tkwią bardzo głęboko. Przyczyny wybuchów to: bieda i stosunki polityczne w Polsce.

Bieda na wsi przybrała niebywałe od dziesiątków lat rozmiary. Włościanie, zwłaszcza w Małopolsce, gdzie ziemię rozdrobniono do niemożliwych wprost granic, nietylko nie mają się w co ubrać i obuć, ale bardzo często i do ust co włożyć. Na przednówku kiedy to właśnie wybuchły rozruchy, głód zaglądał do chat na wsi, a ludzie nie mogli na chleb nigdzie zarobić, bo przemysł w zastoju, zaś wychodźtwo uniemożliwiły państwa obce przez zamknięcie swoich granic. Przytem gospodarza rozdrażniał fakt, iż za towary rządowe i kartelowe trzeba płacić wysokie ceny, a produkty rolne można za darmo prawie nabywać. Włościanie nie czuli skutecznej akcji ze strony czynników oficjalnych, którąby starała się te nierówności usunąć. Wśród mas chłopskich szerzyły się opowieści: „dawniej, kilka lat temu wstecz, było lepiej. Produkty rolne były droższe, a towary przemysłowe tańsze. Chłop miał wtedy głos w państwie i znaczenie, a teraz to bieda i ucisk". Zresztą trzeba przyznać, iż biedę na wsi lekceważono do ostatnich czasów. Nie zdawano sobie sprawy z jej rozmiarów. Nie uprzytomniano sobie, iż przeludnienie wsi wzmogło się przez napływ bezrobotnych z miast. Przy tem wszystkiem zakorzeniło się głęboko mniemanie, iż wieś pozostanie spokojna, ponieważ natura wsi jest tego rodzaju. Te mniemania ujawniły się i podczas rozpraw sądowych. Na procesie grodziskim, komendant powiatowy policji, komisarz Nowakowski, jako świadek, zeznawał o biedzie chłopskiej: „gorzej jest, niż przed kilku laty. Teraz już nie można kupować lakierków i jedwabnych pończoszek". Prokurator zaś, dr. Spólnik, zaznaczył wyraźnie, iż bieda na wsi nie może być groźna, bo zawsze jest co jeść i przeciwstawił nędzę miasta wsi. Zapewne miał rację, gdy w czarnych barwach malował obraz naszych miast, zwłaszcza wielkoprzemysłowych. Ale to nie może być argument przekonywający, iż na wsi niema biedy. Ona na wsi czasami bywa znacznie dotkliwsza, bo niema zorganizowanej akcji, którąby ją zwalczała i przychodziła z pomocą ludziom biednym i w nędzy pogrążonym. To lekceważenie mieszkańcy wsi odczuli i do biedy dołączył się ból, iż nikt o nich nie dba, iż brak zrozumienia ich potrzeb ze strony tych, którzy do tego przedewszystkiem są powołani, aby otoczyć wieś opieką.

Zapewne jednak chłopów polskich jedynie bieda nie byłaby popchnęła do wystąpień. Współczynnikiem tutaj stały się stosunki polityczne. To, iż

zniszczono samodzielny samorząd, iż uzależniono zupełnie organizacje rolnicze, iż porozwiązywano stare i zasłużone stowarzyszenia, a wreszcie, iż chłop czuł, że się go lekceważy, to nagromadziło w duszach mas ludowych osady uczuć, które przy lada okazji piętrzyły się i wreszcie wybuchnęły w pewnych punktach i okolicach. Rozruchy wybuchnęły właśnie tam, gdzie chłop od dziesiątków lat korzystał z pełni praw obywatelskich i ludzkich. On prawa te ceni, bo ich nie dostał za darmo, bez wysiłku, ale za nie cierpiał, o nie walczył. Jego wodzowie nieraz kosztowali gorzkiego chleba w więzieniach austrjackich. Przytem chłop polski wysoko ceni swoją godność osobistą i łatwiej zniesie nawet biedę od poniewierki i lekceważenia. Wtedy staje on do walki w obronie swoich praw i swojego honoru. Przecież oskarżony Jan Kula z Grodziska wyznał jasno, iż chłopa oburza głoszenie i wprowadzanie w życie zasady, iż „trzeba chama trzymać za mordę“. Najgroźniejsze zjawisko w tych zajściach, to fakt, iż — jak stwierdził wyraźnie w swojej replice prokurator, dr. Spólnik — chłopi nienawistnie wprost odnoszą się do policji. Pokazało się w czasie procesu, iż między przedstawicielami państwa a chłopem wykopano głęboką przepaść, przez to zaś utrudniono proces wychowywania ludu w tym kierunku, iż jest on współczynnikiem odpowiedzialnym za losy Polski. Ta przepaść—to najgroźniejsze następstwo zasad i metod obozu majowego. Wynikła ona z tego przekonania, iż obywatel, społeczeństwo, naród to drobiazg, a że grunt—to mechanizm państwowy i słuchanie rozkazu.

Zajścia chłopskie powinny otworzyć oczy wszystkim, którzy głoszą zasadę „państwa państwowego“ i formalnie silnego rządu. Obóz narodowy, sam będąc zwolennikiem silnej władzy, zgoła inaczej ją widzi. Zapewne, trudno znaleźć trafną drogę przy rozwiązywaniu problematów: silna władza i wolność obywatelska, centralny rząd i samorząd, silne państwo i zorganizowany naród. Niemniej jednak w dzisiejszym okresie dziejów państwo i rząd tylko wtedy będą silne, kiedy oprą się o zorganizowany naród, kiedy aparat państwa będzie służył nie ujarzmianiu, ale wyzwalaniu energji społecznej narodu. Żaden bowiem mechanizm nie może zastąpić organizmu. Mechanizm państwa tylko wtedy wypełni swoje zadania, kiedy stanie się formą dla wielkiej treści życia narodowego. To jest właśnie tragedją Polski dzisiejszej, iż forma chce niwelować treść. Z tego położenia wyjść tylko da się przez wytworzenie warunków, w których zwyciężą zasady narodowe. One jedynie zdolne są stworzyć taki ustrój państwa, który odpowiadać będzie potrzebom historycznym i instynktom narodu polskiego. W takim ustroju nie będzie konfliktu między masami narodowemi a formami państwa. Państwo narodowe bowiem nie lekceważy mas narodowych, ale wskaże im wielkie cele i wzbudzi w nich wielkie ambicje historyczne. Wtedy nie będzie przepaści między społeczeństwem a przedstawicielami mechanizmu państwowego, bo mechanizm stanie się tylko ramami dla rozwoju treści narodowej.

JÓZEF PETRYCKI

ZAGADKA DALEKIEGO WSCHODU

DALEKIM WSCHODEM trudno się interesować zdaleka. Rozbieżność dochodzących nas informacyj jest wprost zastraszająca. Nawet gdy chodzi o statystyczne dane, — różnią się one od siebie znacznie, bo o 100 i więcej procent, zależnie od pochodzenia. Gdy naprzykład „*Resumé statistique de l'Empire du Japon*“ 1929, określa liczbę Japończyków, którzy mieszkali w Chinach w roku 1926, na 420 tysięcy, chiński urząd celny podaje 218, a prof. Kiuner w „*Oczerki nowiejszej politiczeskoj istorji Kitaja*“ zadowala się cyfrą 101 tysięcy. Ten sam chiński urząd celny stwierdza, że w Chinach znajduje się tylko 1, — wyraźnie jeden Polak, chociaż ja sam mam tam kilku znajomych.

Pomimo jednak tych trudności interesować się Dalekim Wschodem trzeba. Nie tylko dlatego, że na nim skłębiają się interesy wielkich mocarstw świata, ale przedewszystkiem z powodu naszego sąsiedztwa z Z. S. S. R. Nie będzie przecież przesadą twierdzenie, że spokój, panujący na naszej granicy wschodniej, zawdzięczamy w wielkiej mierze kłopotom, jakie mają Sowiety nad brzegami Pacyfiku.

Promotorem przeobrażeń i zmian, zachodzących na Dalekim Wschodzie od kilkunastu lat, — jest prawie wyłącznie Japonja.

Zagrożona przeludnieniem i obarczona ujemnym bilansem handlowym, musi ona szukać terenów kolonizacyjnych i tanich źródeł surowców, niezbędnych dla dalszego rozwoju jej ekonomicznego życie i wysoko rozwiniętego przemysłu. Nie mając dostępu do Stanów Zjednoczonych i do Australji, gdzie było i jest jeszcze pod dostatkiem wolnej przestrzeni, jest ona zmuszona wyładowywać energję swej ekspansji w kierunku najmniejszego oporu, naciskając na swych słabszych sąsiadów — Koreję i Chiny. W tym też sensie japońska dyplomacja tłumaczy wszystkie swe posunięcia na terenie Azji.

Dzisiejsza sytuacja japońskiego narodu jest bezsprzecznie bardzo trudna. 65 miljonów ludzi zamieszkuje dziś te same wyspy macierzyste, na których przed 50 laty 33 miljony z trudem zdobywały sobie kęs chleba. W tym samym czasie, gdy ludność wzrosła w dwójnasób, powierzchnia pól uprawnych zwiększyło się stosunkowo nieznacznie. W ostatnich 10-ciu latach zaludnienie Japonji zgęściło się o 15%, a obszar gleb uprawnych powiększył się zaledwie o 0,9%, przyczem wydajność gospodarki rolnej nie uległa zmianie. Dalsze powiększenie obszaru użytecznego dla rolnictwa nie wydaje się prawdopodobne, a wszelkie próby podniesienia intensywności gospodarki rolnej zawiodły. Wykazały one, że Japończyk pracuje na roli i taniej i wydatniej, niż to mogłyby robić maszyny i t.p.

Ponieważ przyrost ludności jest w Japonji bardzo wysoki i mimo wielkiej śmiertelności, spowodowanej ubóstwem, waha się on ostatnio między 12 — 16 na 100, problem wyżywienia obywateli Państwa Wschodzącego Słońca nastręcza niezmierne trudności, zmuszając do zakupywania ogromnych ilości ryżu, co odbija się coraz fatalniej na bilansie handlowym Państwa.

Z obecnej sytuacji mogą być tylko cztery, a faktycznie dwa wyjścia: 1) czekać z założonemi rękami, aż choroby i głód doprowadzą do samo-

rzutnego szukania ratunku, 2) zatamować sztucznie, lub przynajmniej zmniejszyć naturalny przyrost ludności, 3) drogą intensyfikacji przemysłu i handlu zdobyć środki na żywienie ludności, 4) znaleść tereny kolonizacyjne, odpowiadające zdolnościom i przyzwyczajeniom narodu.

Pierwszy i drugi sposób tak wybitnie nie odpowiadają cechom japońskiego charakteru, tradycjom rodzinnym, energji i wierze w swe posłannictwo, że wogóle nie mogą być dyskutowane.

Trzecia droga prowadzi Japonję na kontynent azjatycki, bogaty w surowce, nie wyzyskany jeszcze przez ekspanję gospodarczą innych narodów i położony w bezpośredniem sąsiedztwie.

Czwarta — prowadziłaby raczej do Australji i ziem Ameryki północnej, gdyby groźne „tabu" białych nie skierowało jej ku tejże Azji, w postaci Formozy, Korei i Mandżurji. Lecz wszystkie te kraje są gęsto zaludnione.

Długoletnia kolonizacyjna praktyka wykazała niezbicie, że Japonja nie posiada takich zdolności kolonizacyjnych, jakie są potrzebne, by ludność jej mogła się ostać w środowiskach o nizkim poziomie życia i związanej z nim taniości rąk roboczych, co właśnie zachodzi w Korei i w Chinach. W dodatku i Chińczyk i Koreańczyk prześcigają Japończyka w pilności i wydajności pracy.

To też w ciągu 33 lat usilnej akcji kolonizacyjnej w Korei, szeroko finansowanej i popieranej— ilość Japończyków, zamieszkujących Koreję, powiększyła się zaledwie o 250.000. Do Mandżurji wyemigrowało nie wiele więcej ponad 100 tysięcy. Jednocześnie do tej samej Mandżurji przesiedliło się i osiadło na stałe 20 miljonów Chińczyków, którzy samorzutnie emigrują z przeludnionego dorzecza Jantsekiangu. Zestawienie tych dwu cyfr jest aż nadto wymowne. Nawet na Kwantunie, gdzie dzięki portom Dalni i Port-Artur, oraz rozmieszczeniu tam licznych garnizonów, Japończyk czuje się lepiej — emigracja nie postępuje.

Pomiędzy japońskimi emigrantami w Korei i w Chinach nie znajdziemy nikogo, ktoby się związał na stałe z krajem, do którego przybył. Niema między nimi kolonistów, rolników, rzemieślników. Zawody, którym się oddaje japoński przybysz, najmniej świadczą o stałości jego zamierzeń. Dzierżawcy barów i restauracyj, fryzjerzy, fotografowie, kuglarze i linoskoczki, personel domów publicznych, coś, co nie jest ani rolnictwem, ani pracą fizyczną, ani handlem, ani przemysłem.

Zupełnie w innem świetle przedstawia się japońska ekspansja przemysłowo-gospodarcza, rozwinięta na szeroką skalę i w Korei i w Chinach. I tu i tam wydała ona znakomite wyniki. W tym kierunku Japończycy wykazali wielkie zdolności organizacyjne i handlowe, uzyskując z jednej strony obfite źródła tanich surowców, z drugiej zaś strony otwierając obszerne rynki zbytu dla wytworów swego przemysłu.

Rozwijając swą działalność na tej drodze, Japonja mogłaby jeszcze przez dłuższy czas sprostać trudnościom, piętrzącym się przed jej przyszłością. Nie należy jednak zapominać, że ekspansja gospodarcza wymaga przedewszystkiem pokojowego współżycia Japonji z Chinami. Handel i przemysł są aż nadto czułe na wszelkiego rodzaju nieporozumienia i konflikty, nie mówiąc już o strajkach, sabotażu, bojkocie—wreszcie o rozprawach orężnych.

Na nieszczęście Japonji współżycie z Chinami od chwili upadku monarchji i załamania się monarchistycznych planów Yuan-shi-kai'a, jest rzeczą wprost nieuchwytną. Chiny — jako państwo — jakby nie egzystują. Są areną, na której 22 większych generałów i kilkudziesięciu pomniejszych, urządza krwawe harce w poszukiwaniu władzy, jako środka do osiągnięcia bogactwa. Harce te dają otwarte pole do intryg, w których biorą udział i Stany Zjednoczone, i Niemcy, i Sowiety, i Anglja, i Japonja — kto tylko chce i kto ma gotowe pieniądze na przekupienie któregokolwiek z generałów. Oni wszyscy — jak jeden — są do kupienia. W każdej też chwili mogą porzucić swego protektora, gdy jego przeciwnik zapłaci więcej.

Jak takie stosunki odbijają się na gospodarczych interesach Japonji i na zaangażowanych przez nią kapitałach — łatwo się domyślić.

Ten stan rzeczy narzucił Japonji zadanie ustanowienia w Chinach, a przedewszystkiem w Mandżurji, gdzie Japonjaześrodkowała *gros* swoich interesów — stałej i silnej władzy, któraby w dalszym ciągu mogła podporządkować sobie całe państwo.

Utworzenie nowego cesarstwa w Mandżurji jest właśnie tem poczynaniem, bez którego Japonja obejść się nie mogła. Urok, jaki idea monarchistyczna wywiera na tradycyjnie oddanego jej Chińczyka, może emanować daleko poza Mandżurję i stać się hasłem do konsolidacji kraju.

W tem wszystkiem jeden warunek jest niezbędny: dobra wola Japonji. Najmniejsze podejrzenie, że Japonja, poza gospodarczemi celami i przyjaźnią dla narodu chińskiego, ma ukryte zamiary zaborcze, czy imperjalistyczne, przekreśli natychmiast wszelkie nadzieje na uspokojenie Chin i na ustalenie japońsko-chińskich stosunków.

Ministerstwo spraw zagranicznych Japonji twierdziło i twierdzi, że, w stosunku do Chin, Japonja jest ożywiona najlepszemi chęciami i nie posiada żadnych celów zaborczych.

Jeżeli tak jest w istocie, dalszy rozwój wypadków na Dalekim Wschodzie prowadziłby po linji uspokojenia i konsolidacji Chin oraz stopniowego zacierania się antagonizmów między synami Państwa Niebios i Wschodzącego Słońca. Ten zwrot znamionowałby wielką groźbę pod adresem Sowietów, Ameryki i Anglji, zresztą wszystkich białych. Bo tak zwane „żółte niebezpieczeństwo" stanie się niebezpieczeństwem realnem, kiedy Japonja i zjednoczone Chiny podadzą sobie ręce.

W rzeczywistości jednak zanosi się na coś wręcz odmiennego. Mandżurja, ta połać kraju, w której nowokreowany władca powinien był jaknajrychlej ustalić ład i porządek, staje się terenem rozkiełzanej anarchji. Mordy i zabójstwa są tam teraz chlebem powszednim. Wzdłuż i wszerz przewalają się mniejsze lub większe bandy zbójeckie, porywając ludzi w jassyr i staczając bitwy, nawet z oddziałami wojsk. Kupiectwo jest sterroryzowane, wszelki ruch poza granicami miast ustaje lub odbywa się pod silną wojskową eskortą. Nienawiść ku Japończykom wzrasta i szerzy się w zatrważający sposób. Jakie mogą być przyczyny tego zjawiska?

Nie będziemy tu podawali w wątpliwość szczerości oświadczeń japońskiego rządu w sprawie jego stosunku do Chin. Stwierdzimy tylko, że od długiego szeregu lat, polityka zagraniczna Japonji nie jest wyłączną domeną ministerstwa spraw zagranicznych. Japoński gabinet ministrów, oparty o parlament, rządzący krajem na modłę europejską i hołdujący zasadom i hasłom zachodniej kultury i cy-

wilizacji — to tylko jedna strona medalu. Drugą stronę stanowią potężne konserwatywne rody, jak Satsumo i Choshiu oraz nieograniczony władca serc japońskiego narodu — Generalny Sztab w osobach ministra wojny i ministra marynarki. Ta strona ciąży całym swym ciężarem w kierunku, nie mającym nic wspólnego z Europą, a przytem jest nawskroś nacjonalistyczną.

Jeden z członków możnego rodu Choshiu, niejaki Ioshida Shoin, zmarły w roku 1859, pozostawił ciekawy dokument, świadczący, że już w owym czasie, w kołach nacjonalistyczno-konserwatywnych i wojskowych kiełkował zamiar podboju Formozy, Korei, Mandżurji, Sachalinu, Syberji i t. d., nie z punktu widzenia ekonomicznych konieczności kraju, lecz w imię wielkiego posłannictwa japońskiego narodu, którego przeznaczeniem ma być panowanie nad kontynentem i ludami Azji.

Zrealizowanie marzenia o Japońskiem imperjum, większem i potężniejszem od Rzymskiego, nie mogło mieć miejsca w dobie, kiedy ono powstało. Wielki mąż stanu, markiz Ito przekazał je tym pokoleniom, które po zapoznaniu się z Zachodem i przejęciu zachodnich metod ujrzą ojczyznę gotową do urzeczywistnienia tych gigantycznych planów.

Nie ulega wątpliwości, że obecne pokolenie, a przynajmniej jego część, czuje się spadkobiercą owych przekazań.

Nikt nie zaprzeczy, że Japonja jest dziś jednem z najpotężniejszych państw na globie, że dużą część imperjalistycznego programu już zrealizowała; że armja jej jest dobrze zaprawiona w stałych utarczkach i pochodach; że posiada w swem ręku dogodne punkty wyjściowe i zaopatrzone bazy; wreszcie, — że przeciwnicy jej są uwikłani w sprawy, związane z kryzysem gospodarczym. Zaiste! Trudno sobie wymarzyć sytuację, któraby bardziej sprzyjała najryzykowniejszym przedsięwzięciom.

Niepokój, panujący w Mandżurji północnej, świadczy, że Chiny nie wierzą w pokojowe zamiary Japończyków, tak samo jak nie wierzyły w nie i wtedy, kiedy japoński Sztab Generalny podsycał wojnę „Południa" z „Północą", szerząc zamęt, korrupcję i nieład w samem sercu Chin, a markiz Ushida, minister spraw zagranicznych (1919 r.) zapewniał o lojalności japońskiej polityki, o przyjacielskiej chęci pogodzenia stron zwaśnionych i przyczynienia się do konsolidacji Chin.

Jeżeli ta niewiara z doby dzisiejszej jest oparta na realnych podstawach, wtedy można prorokować, że era Siu-wa (błogosławionego pokoju!) może się stać erą przewlekłych wojen i niebezpiecznych wstrząsów.

Zamierzenia, idące po linji rozczłonkowania Chin w celu stworzenia Wielkiej Japonji, zapowiadają długotrwałe wojny między dwoma żółtemi narodami: jednego potężnego siłą i organizacją, drugiego — ciężarem swej masy i mocą plemiennej nienawiści.

ROMAN JASIEŃSKI

AUGUST COMTE

1798 — 1857

PODCZAS gdy trzechsetna rocznica urodzin Spinozy wywołała w całej Europie wraz z Rosją Sowiecką istną powódź obchodów, artykułów wydawnictw, siedemdziesięciopięciolecie śmierci Augusta Comte'a, przypadłe w tym samym czasie, przeszło niepostrzeżenie. Jedna Francja pozostała mu wierna: tam Comte jest klasykiem, czytywanym w szkołach. W innych krajach nie pamięta się o nim; podzielił los prądu filozoficznego, który przybrał nazwę przez niego obmyśloną. Ale o ile pozytywizm jest istotnie przebrzmiałym kierunkiem, to August Comte zaczyna nabierać dziś nowych wartości [1]). Dlatego warto, choćby w spóźnionym o rok, artykule, omówić w krótkości jego życie i dzieło.

Izydor - August - Franciszek - Marja - Ksawery Comte urodził się 17 stycznia 1798 r. (był więc o rok starszy od Mickiewicza, umarł zaś w dwa lata po nim). Pochodził z mieszczańskiej, urzędniczej rodziny z Montpellier, był więc południowcem, wychowanym przez rodziców w tradycjach katolickich i rojalistycznych. Lecz rychło porwał go prąd republikański i wolnomyślicielski; despotyzm szkół napoleońskich i ich nieszczera pobożność odegrały w tej zmianie rolę niemałą. Do Cesarza żywił Comte całe swe życie niechęć, niemal nienawiść, wołał już, zwłaszcza na schyłku życia, wspomnienia Burbonów.

Młody, szesnastoletni chłopiec wstępuje w 1814 roku na politechnikę paryską, lecz jej nie kończy, relegowany za zorganizowanie zaburzeń studenckich. Utrzymując się z prywatnych korepetycyj, marzy o wyjeździe do Ameryki i pochłania ogromną literaturę różnych dziedzin. Wkońcu (r. 1817) zapoznaje się z St. Simonem, od którego przejmuje wiele poglądów, wpada w wir ruchu umysłowego i politycznego, wznieconego przez tego ekscentrycznego myśliciela. Ale po siedmiu latach współpracy, coraz mniej harmonijnej w miarę emancypowania się zdolniejszego ucznia, następuje zerwanie. W tymże roku Comte publikuje pierwszą swą większą pracę, którą St. Simon dwa lata trzymał pod suknem. Praca odniosła duży sukces: naturaliści Blainville, Cuoier, Aleksander von Humboldt wyrażają jej wysokie uznanie, nawet wielki Hegel, poinformowany o nowej gwieździe, poleca mu zakomunikować słowa uznania i zachęty, a stary Łazarz Carnot przysyła mu ze swego wygnania list entuzjastyczny. Comte, zachęcony, zaczyna pracować ze zdwojoną siłą i w dwa lata później otwiera regularną szkołę filozoficzną w postaci kursów prywatnych, na które zapisuje się Blainville, Humboldt, Hipolit Carnot, Lamennais i wielu innych. Ale nadmierne wytężenie umysłowe w połączeniu z przejściami natury osobistej wywołują u Comte'a, który przyszedł na świat z usposobieniem psychopatycznem — wstrząs mózgowy. Wstrząs ten wykreśla go na dwa lata z rzędu ludzi normalnych. W szpitalu dla umysłowo chorych, a potem w domu rodziców zwolna przychodzi do siebie, zaś pierwszą pracą po chorobie były uwagi na temat istoty chorób umysłowych na marginesie książki psychjatry Broussais'a na podstawie własnych prze-

[1]) Ob. art. niżej podpisanego: „Czy Comte był pozytywistą" „Przegląd Filozoficzny". Rocznik 35, zesz. III — IV, 1932, oraz w osobnej odbitce.

żyć. 4 stycznia 1829 roku rozpoczyna na nowo swoje wykłady, z których powstaje w ciągu lat 12 sławny „*Cours de philosophie positive*".

Filozofja, wyłożona w tem dziele, opiera się na dwóch zasadach. Pierwszą jest t. zw. przez Comte'a „prawo encyklopedyczne o hjerarchji nauk". Zapoczątkowane już przez d'Alemberta, prawo to ustala wzajemną zależność nauk „abstrakcyjnych". W postaci, wykończonej przez Comte'a stanowi hjerarchję w następującej kolejności: matematyka, astronomja, fizyka, chemja, biologja, socjologja[2]). Każda z tych nauk wspiera się na zdobyczach poprzedniej, ale jest od niej odrębna, wnosi swoje, jej dziedzinie właściwe pierwiastki. Socjologja, najwyższa z nauk, ogarnia tem samem ogół praw nauk poprzednich, a dodając do nich swe własne, skupia tem samem w sobie całość praw świata. Na niej trzeba się więc oprzeć, aby zrozumieć świat.

Z tej tezy wypływa konsekwentnie druga zasada filozofji Comte'a t. zw. „prawo trzech faz". Skoro przy badaniu świata należy się oprzeć na socjologji, a socjologja to nietylko nauka o budowie społeczeństwa, lecz i o jego rozwoju dziejowym, trzeba przeto wiedzę ludzką, która jest wytworem społeczeństwa, badać również w jej rozwoju historycznem. Uczyniwszy to, mniemał Comte, że znalazł zasadnicze prawo historjozoficzne: umysł ludzki przechodzi w sposób konieczny przez trzy fazy rozwojowe: teologiczną, metafizyczną i pozytywną. Dotyczy to zarówno rozwoju jednostki jak i całej ludzkości. Ściślej mówiąc, istnieją dwa wielkie systemy myśli: teologiczny i pozytywny, faza zaś metafizyczna jest ze swego charakteru przejściowa, w trakcie jej trwania rozkłada się teologiczny system myślenia, a powstająca stąd pustka umożliwia nadejście fazy pozytywnej.

Pozytywny system myślenia charakteryzuje się zaniechaniem poszukiwania ostatecznych przyczyn wszechrzeczy, prawdy absolutnej, objawień religijnych. Wszystko odtąd ma być tłumaczone naukowo: mądra rezygnacja z prób rozwiązania zagadki bytu umożliwia racjonalne zbadanie tego, co nam jest dostępne, a mianowicie faktów. Dążeniem nauki będzie odtąd wykrycie praw, rządzących faktami, tak jak to np. na drobnym odcinku uczynił Newton, odkrywając prawo ciążenia.

Oczywiście, tak rozumiane prawo trzech faz ujęte jest błędnie. Istotnie, w pewnej dziedzinie, mianowicie przyrody martwej, umysł ludzki przechodził od koncepcji spirytualistycznej do mechanicznej. Człowiek pierwotny w okresie fetyszyzmu skłonny był — zdaje się — każde zjawisko uważać za działanie istot niewidzialnych i potężnych, a każdy przedmiot za żyjący własnem życiem. Podobnież ruch gwiazd objaśniano przez długie wieki działaniem duchów, personifikowano również przyrodę, choćby w sławnem powiedzeniu: „*natura horret vacuum*". Od wieku XVII, czasów Galileusza, Keplera, Torcellego, Newtona, Huyghensa utrwalił się (i trwa po dzień dzisiejszy) pogląd, tłumaczący zjawiska przyrody martwej mechanicznie i wykrywający pewne prawa przyrodnicze. Otóż Comte nieprawnie uogólnia ten stan rzeczy i bezpodstawnie sądzi, że z chwilą odkrycia wszystkich praw przyrody teologja i metafizyka staną się upiorami przeszłości. On sam nie uniknął przesłanek metafizycznych, bo przecież teza, że we wszystkich zjawiskach istnieją pewne prawa, czyli, inaczej mówiąc, że świat skonstruowany jest prawidłowo, nie da się ustalić na drodze badania faktów i jest dedukcyjną tezą *à priori*.

Koncepcja trzech faz zrozumiała jest jednak na tle epoki, której dzieckiem był Comte. Pokolenie jego, zrodzone w czasie rewolucji, rozumiało, że świat ich ojców zawalił się na zawsze, że otwiera się nowy okres ludzkości. Głębiej patrzący rozumieli, że Wielka Rewolucja była niejako zakończeniem procesu rozkładowego, rozpoczętego w w. XVI, była ostatecznem obaleniem średniowiecza z jego wielkiemi walorami cywilizacyjnemi. Prawo trzech faz, błędne z punktu widzenia naukowego, było jednak trafnem odczuciem, że oto skończył się wielki okres cywilizacyjny w dziejach Europy (co Comte mylnie uogólniał na świat cały) i że czynniki, rozkładające tę cywilizację, usunęły nie tylko słabe jej strony, ale i te, które stworzyły jej wielkość, same zaś nie potrafiły nic stworzyć poza postępem technicznym. Comte nie chciał burzyć; zresztą wokoło były i tak gruzy: on chciał budować nowe życie i dlatego filozofję swą nazwał p o z y t y w n ą (w przeciwieństwie do n e g a t y w n e j ideologji XVIII w. i Rewolucji Francuskiej). Tragedją filozofa był fakt, którego nie zauważył, że wiele pierwiastków jego filozofji nosiło ten sam negatywny charakter. Stąd ustawiczne pasowanie się Comte'a — reformatora i moralisty z Comte'm — przyrodnikiem i pozytywistą.

W okresie „Kursu filozofji pozytywnej", który miał rzucić podstawy naukowe pod przyszłą reformę społeczeństwa, trudności te były ukryte i niewidoczne. Wyszły one na jaw, gdy Comte przystąpił do drugiego etapu swych planów życiowych, do owej reformy społecznej, budowania nowego życia, gdy od „filozofji pozytywnej" przeszedł do „polityki pozytywnej".

Los zdarzył, że zakończenie pierwszego etapu życia filozofa zbiegło się z zasadniczym przełomem w jego życiu prywatnem.

Comte ożenił się w roku 1824 bardzo niefortunnie i wbrew woli rodziny, ze swą kochanką, Karoliną Massin, która przez czas pewien była dziewczyną publiczną i w tym charakterze zetknęła się z przyszłym twórcą „filozofji pozytywnej" w słynnym ogrodzie „*Palais Royal*", ówczesnej Yosziwarze paryskiej. Wybitna na podziw inteligencja nieprawej córki aktora i praczk pociągnęła Comte'a niemniej, niż uroda. Niestety, Karolina wniosła w życie rodzinne dawną lekkość obyczajów. Ilekroć bieda — a zdarzało się to nierzadko — zajrzała młodemu małżeństwu w oczy, pani Comte wynajdywała mężowi źródła bezzwrotnego kredytu, a nawet dostarczała mu wdzięcznych słuchaczy, płacących hojnie za lekcje matematyki lub filozofji. Łatwowierny filozof nie odrazu odkrył prawdę, lecz gdy to się stało w 1826 r., przypłacił ją — był to drugi powód obok przepracowania — omawianą już chorobą umysłową. Kilkakrotnie pani Comte uciekała z domu na czas dłuższy, a gdy nawet (bo były i takie chwile) prowadziła życie nienaganne, zatruwała mężowi życie wyrzutami, że nie został profesorem wyższej uczelni, ani członkiem Instytutu. Wkońcu dziwna ta kobieta, o dużych ambicjach a małej godności, odeszła od Comte'a na zawsze.

Filozof zamieszkał samotnie. W 1844 roku poznał drugą kobietę, która odegrała decydującą rolę w jego życiu: Klotyldę de Vaux. Była to młoda

[2]) Termin „socjologja" jest neologizmem, stworzonym przez Comte'a, dziś powszechnie przyjętym i używanym.

mężatka, której mąż, przegrawszy w karty cudze pieniądze, uciekł zagranicę na zawsze. Klotylda, bardzo uczuciowa i egzaltowana, skrzydzona przez życie i tembardziej czuła na niedolę ludzką, zajęła się serdecznie opuszczonym, czterdziestosiedmioletnim, brzydkim filozofem, a ten wkrótce zakochał się w niej głęboko i romantycznie. Stosunek ich, czysto zresztą platoniczny, gdyż Klotylda była przeciwieństwem pani Comte — trwał niecałe dwa lata; poczem biedna Heloiza Comte'a umarła na suchoty, zostawiając po sobie kilka słabiutkich utworów literackich i zdruzgotanego ciosem filozofa.

Niektórzy historycy filozofji przypisują zmianę poglądów filozoficznych Comte'a wyłącznie Klotyldzie de Vaux. Tak nie było. Tragiczne przejście duchowe skrystalizowało szybciej jego stopniową ewolucję, wzmocniło pierwiastki uczuciowe jego filozofji, spowodowało pewne dziwactwa jego myśli, ale zasadniczy kierunek przemian w poglądach Comte'a wyznaczony był już znacznie wcześniej, był konsekwencją jego podstaw myślowych.

W latach 1847-1854 powstał czterotomowy „System polityki pozytywnej". System ten miał odrodzić świat.

Trzeba było przywrócić światu harmonję, którą zburzył okres metafizyczny. Trzeba było odnaleść zagubioną mądrość wieków minionych, zbadać przyczyny fatalnego rozstroju ludzkości. Comte je znalazł: podstawową przyczyną był bunt intelektu przeciw uczuciu. On to zatruł duszę ludzką pychą, on to rozproszkował społeczeństwo: racjonalizm Voltaire'a, deizm Rousseau, materjalizm encyklopedystów—wszystko to targało więzy społeczne, szerzyło kult jednostki, gdyż nie uznawało przyrodzoności instynktów społecznych, naturalnego początku społeczeństwa, opartego na głębokiem uczuciu solidarności ludzkiej i miłości dla Całości, wszystko racjonalistycznie badało abstrakcyjną, sztucznie wykoncypowaną jednostkę „jako taką", zamiast badać ją jako produkt społeczeństwa i realnych warunków życiowych. Temu buntowi rozumu przeciwstawić się ma pozytywizm: przywróci harmonję wewnętrzną jednostki przez uznanie prymatu uczucia nad intelektem; przywróci harmonję społeczną przez zjednoczenie wszystkich ludzi pod wspólnym sztandarem duchowym.

Ale do tego moralnego zespolenia nie wystarczy filozofja i polityka pozytywna. Pustka duchowa, którą uczuli ludzie po upadku wierzeń teologicznych, wymaga zapełnienia, a tylko religja zastąpić może religje. *„Religare"* znaczy wiązać, łączyć, zespalać — powtarza Comte i tworzy religję „pozytywną".

Już w „Kursie filozofji pozytywnej" zaznaczał, że miłość ludzkości winna zastąpić wygasłą miłość Boga, o którym nie możemy nic orzec, nawet czy wogóle istnieje. Teraz uczynił zdecydowany krok naprzód: ogłasza kult „Wielkiego Bytu"—ludzkości, a siebie pierwszym jej Wielkim Kapłanem, *„Grand Pretre de l'Humanité"*. [3])

[3]) Zdaniem Comte'a było to jedynie ujawnienie prawdziwej religji, której niedoskonałą reprodukcją był monoteizm. Człowiek bowiem rzutuje nazewnątrz swe uczucia i myśli; pierwotnie czcił przedmioty martwe, gdyż uważał je za żywe przez analogję do siebie samego, później uosabiał rodzinę w Larach i Penatach, plemię w bóstwach plemiennych, naród w narodowych — było to stadjum politeizmu. Wreszcie, osiągnąwszy w drodze rozwoju duchowego poczucie jedności całej ludzkości, zaczął czcić jej personfikację — jednego Boga.

Czem jest owa boska Ludzkość? Comte przyrównywa ją do organizmu. Jak wielki organizm posiada ona cechę ciągłego odnawiania się, samorzutnej regeneracji, wiecznej przemiany. Ludzkość to zespół ludzi zmarłych, żyjących i mających się narodzić. Im więcej pokoleń mija, tem więcej zmarli działają na żywych, rządzą nimi niejako. Na miejsce iluzorycznego—zdaniem filozofa—pojęcia nieśmiertelności w niebie zyskujemy świadomość nieśmiertelności na ziemi: w pamięci ludzkiej. Ludzkość żyje grobami zmarłych i dąży ustawicznie do wypełnienia swego zadania: realizacji powszechnej harmonji świata, opartej na miłości. W ostatniem swem dziele, *„Synthese subjective"* przedstawia Comte świat cały jako żywy w swych najdrobniejszych molekułach, oddychający miłością dla „Wielkiego Bytu" i działający dla jego dobra.

Aby realizować religję ludzkości, „Wielki Kapłan" obmyślił dokładnie organizację swego kościoła, a w związku z tem również ustrój polityczny świata. Stolicą duchowną i świecką miał być Paryż. „Jestem przekonany"—pisał Comte w 1851 r.— „że przed rokiem 1860 będę wykładał z kazalnicy w Notre Dame pozytywizm jako jedyną religję rzeczywistą i pełną".

Władza duchowna i świecka miały być ściśle rozdzielone, ale „Wielki Kapłan" miał nadawać zasadniczy kierunek państwom świata, niczem Grzegorz VII lub Inocenty III. Narody zachodnie: Francja, Hiszpanja, Włochy, Niemcy, Anglja, oraz Polska i Grecja miały tworzyć „Republikę Zachodnią", federację państw a raczej państewek, gdyż dla Comte'a ideałem były małe republiki w rodzaju włoskich. Francja np. miała się dzielić na Korsykę, Prowancję, Owernję, Alzację etc. Władza świecka ma być w koncepcji Comte'a dyktatorska: wszelki bowiem parlamentaryzm i liberalizm ustrojowy są dzieckiem fazy metafizycznej; rozproszkowują one społeczeństwo, wysuwając własne „ja" jednostki na plan pierwszy. Władza najwyższa, dożywotnia w ręku dyktatora, przechodzi na następcę drogą adoptacji. Oczywiście monarchja jest anachronizmem, zabytkiem fazy teologicznej; jej istotą jest sakra i związane z nią pojęcie Bożej Łaski. Ale Comte nie żywił ku niej nienawiści, nazwał rządy Karola X najuczciwszemi, jakie widział we Francji. W 1848 r. sympatycznie powitał upadek parlamentarnej monarchji Ludwika Filipa, ale bardzo sceptycznie patrzył na rządy Zgromadzenia Narodowego i z zadowoleniem powitał zamach stanu księcia Ludwika Napoleona. Sądził, że ten bratanek znienawidzonego Korsykanina urzeczywistni myśl o dyktaturze adopcyjnej. Tymczasem Ludwik Napoleon przywdział koronę cesarską. Wówczas Comte spróbował szczęścia w kierunku zupełnie nieoczekiwanym: wystosował obszerny list do Mikołaja I, z wyłuszczeniem swych zasad politycznych i żądaniem poparcia równego temu, jakiego Katarzyna II udzielała encyklopedystom [4]). List zaczyna się od słów: „Sire, filozof, konsekwentny republikanin przedstawia najbardziej absolutnemu z monarchów systematyczny projekt odrodzenia ludzkości, zarówno pod względem społecznym jak umysłowym. Krok ów tłumaczy się jego specjalną oceną. Ten filozof bowiem od

[4]) Comte powoływał się na pozwolenie cenzury carskiej, dotyczące kolportażu „Kursu filozofji pozytywnej" i prosił o podobne pozwolenie dla „Polityki pozytywnej".

pierwszego swego wystąpienia w 1822 r. zwalczał zawsze suwerenność ludu i równość i czynił to w imię postępu radykalniej, niż jakakolwiek szkoła wsteczna. W tym samym czasie ów autokrata od swego wstąpienia (-(na tron)-) w 1825 r. stawał zawsze z godnością na czele myśli ludzkiej (-(dosłownie: *mouvement humain*)-) w swych rozległych państwach, chroniąc je z roztropną stałością od (-(wywrotowej)) agitacji z Zachodu". Tak Comte coraz bardziej przechodził na stronę konserwatywno-reakcyjną.

Silnej ewolucji uległ też jego stosunek do katolicyzmu. Początkowa niechęć, zabarwiona młodzieńczym buntem zamieniała się z biegiem czasu w chłodną, lecz pełną podziwu ocenę społecznych walorów i historycznej roli Kościoła, roli coprawda już odegranej i zamkniętej. W miarę jednak, jak ustawiczne zawody osłabiały — nie wiarę w powodzenie — ale pewność łatwości, z jaką się miała szerzyć „religja pozytywistyczna", Comte zaczął uznawać, że katolicyzm ma jeszcze pewną rolę do odegrania, oczywiście przejściową. Skoro bowiem umysły ludzkie nie dojrzały jeszcze w pełni do pozytywizmu, a tem samem ideje rozkładowe nie przestają wichrzyć w społeczeństwie, należy zjednoczyć wszystkie siły „pozytywne" przeciw „negatywnym", sprzymierzyć się z tem wszystkiem, co zachowało dawne cnoty, mniejsza że na „iluzjach" oparte. Dlatego też w roku 1855 filozof ogłasza pismo: „Wezwanie do konserwatystów", w którem proponuje sojusz dla zwalczania wspólnego zła. W dwa lata później robi decydującą próbę: wysyła ucznia swego, Alfreda Sabatier'a do Rzymu z propozycją przymierza dwu potęg duchowych: pozytywizmu i katolicyzmu. Skierowuje go jednak nie do Piusa IX, gdyż papieże od końca XIV wieku zrezygnowali z faktycznego władztwa Kościołem i „zredukowali się do rzędu zwykłego księcia włoskiego, wybieralnego, zamiast dziedzicznego, jak inni". Sabatier ma udać się do „prawdziwego wodza katolicyzmu" — do generała Jezuitów.

Proponowany sojusz zwalczyć miał „trzy kolejne stadja współczesnej choroby: protestantyzm, deizm, sceptycyzm, oraz ustalić naturalny podział wpływów: wszyscy wierzący w Boga mieliby wrócić do katolicyzmu, wszyscy niewierzący—stać się pozytywistami".

Oczywiście, inicjatywę spotkało niepowodzenie. Jakżeby mogli Jezuici wejść w sojusz z człowiekiem, który dogmaty katolickie uważał za wytwory pewnej fazy rozwoju ludzkości, wytwory pożyteczne wprawdzie, głęboko wychowawcze, lecz nieprawdziwe! Jak mogliby porozumieć się z filozofem, który przy całej swej dobrej woli, zachował jednak wolterjańsko-encyklopedyczne uprzedzenie do postaci Chrystusa, nazywał go „awanturnikiem religijnym", za właściwego twórcę katolicyzmu uważał jedynie św. Pawła, a Jezuitom proponował zmianę nazwy na „Ignacjan" (*Ignatiens*). To też przez usta Ojca Rubiltona T. J. odpowiedzieli: „Jesteśmy biednymi zakonnikami, obcymi polityce. Głosimy prawo i Imię Jezusa oraz wiarę katolicką; nie możemy wchodzić w sojusz, który nie ma na celu triumfu imienia Jezusa... Jesteśmy wzruszeni uczuciami Panów, ale nie możemy zawrzeć żadnego przymierza. Bądźmy przyjaciółmi i działajmy każdy na swoim terenie".

Tak z sojuszu pozostał zaledwie pakt o nieagresji. Comte nie zraził się jednak. W planach swych przeznaczał nadal „Ignacjanom" wielką rolę (generał ich winien był ogłosić się głową Kościoła i przenieść Stolicę Apostolską do Paryża), starał się wejść w kontakt z katolikami w Ameryce, sam nawet chodził co sobota do kościoła Świętego Pawła, coprawda na pamiątkę Klotyldy de Vaux, wraz z którą w r. 1845 trzymał w jednej z kaplic do chrztu jej bratanka. W testamencie swym zapisał 100 franków rocznie ofiary na rzecz kościoła. Skromna to sumka, lecz nie dla Comte'a, który całe życie walczył z nędzą, a od r. 1848 utrzymywał się wyłącznie ze składek swych wielbicieli.

Rozległe plany filozoficzno-społeczne Comte'a przerwała śmierć, która zabrała go 5 września 1857 roku, ku wielkiemu jego zdziwieniu, gdyż przekonany był, że doczeka conajmniej roku 1867. Pochowano go na cmentarzu *Père Lachaise*; w mieszkaniu jego urządzono muzeum. Wszystko zostało jak w chwili śmierci: niedopalona świeca, szklanka z łyżką w środku, bukiet ze sztucznych kwiatów (dzieło Klotyldy de Vaux), na który patrzył umierający. Skończyła się wędrówka życiowa tego dziwnego człowieka, w którym cechy genjalności splatały się niesamowicie z dziecięcą naiwnością, trzeźwa nieraz ocena wypadków z fantastycznemi rojeniami, a sucha pedanterja z gorącem, wulkanicznem uczuciem.

Wpływy Comte'a idą w dwu kierunkach. Jego teoretyczne założenia, przedstawione w „Kursie filozofji pozytywnej" i odpowiednio skomentowane przez Emila Littrée, ucznia zbuntowanego przeciwko drugiej fazie twórczości mistrza — dały początek wielkiemu prądowi umysłowemu, zwanemu pozytywizmem, który zresztą istniał w zaczątkach przed Comte'm (d'Alembert). Prąd ten ogarnął lub oddziałał na poglądy filozoficzne Milla, Spencera, Baina w Anglji, Taine'a, Renana we Francji, Ardigo we Włoszech, Jodla, Riehla, Avenaniusa w Niemczech, Świętochowskiego, Ochorowicza, Kozłowskiego w Polsce. Natomiast pisma i działalność Comte'a z drugiej połowy jego życia pociągnęły małą grupkę t. zw. „pozytywistów integralnych", tworzących „kościół pozytywistyczny" w Paryżu. Na czele ich stoi obecnie p. Emil Corra. Poza Francją „integralny pozytywizm" znalazł znaczny oddźwięk w Brazylji, która po obaleniu cesarstwa przyjęła dewizę Comte'a „*Ordre et Progrès*" do swego herbu, a nawet próbowała oprzeć konstytucję na wskazówkach ustrojowych filozofa. „Gmina pozytywistyczna" w Rio de Janeiro działa po dziś dzień pod kierunkiem p. Teixeira Mendeza zachowując pietystycznie wszelkie obrzędy, włącznie aż do „nabożeństw", i „sakramentów", ustanowionych ongiś przez Comte'a.

Wreszcie „integralny comtyzm", coprawda bez części obrzędowej, trafił do znacznego odłamu francuskiego nacjonalizmu przez pozyskanie sobie potężnej głowy Karola Maurrasa. Jego poglądy, które stały się jednym z powodów potępienia „*Action Française*" przez Watykan, są integralnie przejęte od Comte'a uważanego przez rojalistów francuskich za jednego z ich „mistrzów".

W pięćdziesięciolecie śmierci filozofa ukazał się we Francji szereg książek, poświęconych zarówno jego osobie, jak i jego poglądom, w których obok plewy dziwactwa znaleźć można wiele ziaren prawdziwej mądrości.

JAN MOSDORF

„ROZMOWY“ MICKIEWICZA

(UWAGI NA MARGINESIE)

(Dokończenie)

WYBÓR rozmów, zapisanych przez Odyńca, uznać naogół należy za udatny, szkoda może jednak, że nie uwieczniono tu następującego epizodu z noclegu w Novi, bądź co bądź charakterystycznego dla przyszłego autora „Pana Tadeusza“: „Obiad dobry, oberża wygodna; a mimo to Adam powiada, że jeśli da Bóg kiedy powrócić do Litwy, będzie trzy dni popasał w pierwszej karczmie żydowskiej, choćby mu kozy siano z łóżka wyciągały“ (Listy z podróży IV, 194).

W „Luźnych zdaniach i opinjach literackich“, obok cytowanej z broszury J. B. Zaleskiego („Mickiewicz podczas pisania i drukowania Pana Tadeusza“, Paryż 1875) uwagi Mickiewicza co do konieczności podniesienia nastroju poematu „o jakie pół tonu“ (s. 114), należałoby umieścić i jego pomieszczoną tam obronę Telimeny, jako postaci „arcypotrzebnej dla kontrastu“. Na str. 115 zdanie Mickiewicza o tem, że Nowogrodzianie będą mu kiedyś musieli postawić za „Pana Tadeusza” pomnik w Nowogródku, opatrzono niezupełnie ścisłą uwagą, że słowa te powiedział Mickiewicz Ign. Domejce podczas czytania ukończonego świeżo poematu. Tak jest w liście Domejki do ks. J. Siemieńskiego, ale w innym jego liście, pisanym do niewiadomego adresata, a drukowanym w Nr. 30 „Tygodnika Illustrowanego“ z 1883 r., mamy informację, że było to powiedzenie, które Mickiewicz niejednokrotnie powtarzał („Zwykł powiadać mi: Żegoto“, i t d.).

Z rozmów z Domejką podano tylko jedną, drukowaną w jego „Pamiętnikach“ (s. 116-7). Rozmowę tę należałoby, naszem zdaniem, uzupełnić drukowaną tamże relacją o charakterze i wpływie na otoczenie ówczesnych rozmów Mickiewicza (s. 127:„...w jego rozmowie przebijał się duch katolicki“ i t. d.), następnie zanotowanem przez Domejkę powiedzeniem Mickiewicza: „Idę więźnia z fortecy wyzwalać“, którego używał, idąc wykupywać zegarek z lombardu (Rps. Nr. 765 Muzeum A. Mick. w Paryżu), a przedewszystkiem relacją o rozmowie z Adamem przy spotkaniu się w r. 1832 w Dreźnie, podaną ze słów Domejki przez p. Marję z Domejków Römerową w artykule „Przyjaciele Adama“ („Życie Nowogródzkie“ z d. 1 czerwca 1931 r.) Ponieważ relacja ta jest niezmiernie charakterystyczna dla zainteresowań Mickiewicza w okresie, kiedy powstawały pierwsze zarysy „Pana Tadeusza“, jak również ze względu na rzadkość czasopisma, w którem została ona opublikowana, pozwalamy sobie przytoczyć tu ją w całości:

„Kazał sobie (Mickiewicz) bez końca opowiadać — bynajmniej nie o przeżyciach wojennych, lecz o tem, czy pod Nowogródkiem jarzębiny już czerwienieją? — czy babie lato się na polach ściele? Zapytywał o pewną gruszę polną opodal drogi do Tuhanowicz stojącą; jak się żniwa w tym roku odbywały? Oczywiście musiał mu też Domejko zdać relację o zdrowiu i wyglądzie pani Puttkamerowej“.

Do rozmów z H. Kajsiewiczem (s. 124-5) dodać trzeba nast. jego relację o poznaniu się z Mickiewiczem:

„...dopiero w jesieni t. r. (1832) Worcell mnie do Niego zaprowadził—przyjął mnie najuprzejmiej, z prostotą prawdziwie wielkiego Człowieka — pytał się o moje wiersze — prosił o kopje ich—zapraszał do Siebie—a nawet miał dziwną cierpliwość rezonować o polityce — była to Epoka, kiedy się Dziady drukowały, a Xięgi pielgrzymstwa pisać zaczynał“. A nieco dalej: „...czytałem niektóre (sonety) Mickiewiczowi — zarówno (entuzjastycznie) przyjęte“... (Z listu Kajsiewicza do L. Niedźwieckiego, z Paryża dn. 24 maja 1836 r. — odpis L. Chodźki w Zbiorach rapperswilskich, „Rocznik L. Chodźki“ z 1836 r. Nr. 75).

Na str. 223 wiersze 8-11 należałoby zaopatrzyć w odsyłacz, wskazujący na łączność tych słów Mickiewicza o wpływie uwag Maryli na ukształtowanie się jego kierunku poetyckiego — z tem co zawierają wiersze 15-19 na str. 372 (i odwrotnie).

Wśród rozmów z Aleksandrem Chodźką podana jest na str. 232 rozmowa, zaczynająca się od słów: „Zaleski jest największym z żyjących poetów starej szkoły“, a obok data z jej: „3 grud. t. r.“ (t. j. tegoż roku, co poprzednia rozmowa), przyczem w odsyłaczu jest ona powtórzona, jako 3 grud. 1848 r. Kto, idąc za pierwszą wskazówką, cofnie się do poprzednich rozmów, — znajdzie na str. 229 właściwy rok 1847. Kto jednak oprze się na odsyłaczu, ten popełni błąd, w rzeczywistości bowiem rozmowa ta pochodzi z r. 1847 i nie z 3, lecz 5 grudnia. Tak przynajmniej jest w drukowanym „Katalogu rękopisów Muzeum A. Mickiewicza w Paryżu“ (pod Nr. 182) i w kopji Wł. Mickiewicza, którą mamy przed sobą. Co się tyczy samego tekstu tej rozmowy, to różni się on w paru miejscach od wspomnianej kopji. Tak naprz.: na str. 232 w. 15 mamy tu słowo „czuwanie“ zamiast słowa „dumanie“ w kopji, na str. 233 w. 5 — „Kiedy je obracamy...“ zam. „Obracając je...“i t. d. Wiele jest również różnic w interpunkcji i w podziale na zdania. Być może, że to kopja Wł. Mickiewicza jest nieścisła, ale, bądź co bądź, wartoby tę rzecz sprawdzić u źródła i ewentualnie sprostować.

O rozmowach z E. Januszkiewiczem czytamy w przypisku na str. 253, że są one przedrukiem wersji, ogłoszonej przez J Kallenbacha w jednodniówce „Na szkołę polską“. Jednakże przedruk ten nie jest zupełnie ścisły. Takie naprz. imię matki Maryli, podane u Kallenbacha (*resp.* u Januszkiewicza) jako Aneta, tu figuruje jako Aniela, przyczem nie dodano odsyłacza, prostującego, że matką Maryli była Franciszka z Ancutów, jak o tem wiemy z artykułu prof. Pigonia p. t. „Sztambuch Maryli“, drukowanego w Nr. 40 „Tygodnika Illustrowanego” z r. 1923. Januszkiewicz musiał zapewne pomylić jej imię z imieniem stryjenki Maryli, Anny z Jabłońskich, żony podkomorzego nowogródzkiego, Stefana Wereszczaki z Gutowszczyzny. Pozatem możnaby tu jeszcze dać dwa odsyłacze: do w. 6-7 na str. 253 z objaśnieniem, że Terajewiczówną, z którą się ożenił brat poety Aleksander, była Teresa, córka Ferdynanda (Dr. Teofil Ziemba: „Młodość Mickiewicza“, Kraków 1887, s. 20), oraz do w. 12-14 na str. 254 z informacją, że prawdopodobnie jest tu mowa o bracie Józefa Nieławickiego, Karolu, dzierżawcy Kroń, z którym w r. 1824 jeździł był Mickiewicz do Połągi (F. Przyjemski: „Kilka nieznanych dokumentów, od-

noszących się do A. Mickiewicza" („Pamiętnik Literacki" 1907, s. 74-7).

Na str. 264 rubryka „Kornel Ujejski" reprezentowana jest przez czterowierszowy fragment jednej z jego rozmów z Adamem. Otóż w artykule Bron. Kąsinowskiego „Wspomnienie Kornela Ujejskiego o Mickiewiczu jako kompozytorze", drukowanym w „Dzienniku Poznańskim", z którego wycinek bez oznaczonego roku (po 1898 r.), znajduje się w zbiorach rapperswilskich (M. 689, II, „Wycinki"), mamy opis odwiedzin Mickiewicza w jego mieszkaniu i kilka zdań z ówczesnej rozmowy, które należałoby tu dodać.

Na str. 269-70 w przypisku do ustępów z rozmów z ojcem, zanotowanych przez Marję Górecką, podano, że trzeci ustęp (o białej sukience) „dotąd ogłoszony nie był". Tymczasem był on drukowany we wszystkich trzech wydaniach jej „Wspomnień" (odpowiednio na str. 61, 131, 131), a stąd przedrukowany przez Wł. Bełzę na str. 234 jego „Kroniki potocznej i anegdotycznej". Pozatem drugą połowę tego ustępu cytował świeżo A. Czartkowski w artykule (w „Ruchu Literackim", 1931, s. 51), wymienionym na str. 44 „Rozmów".

Tu również, w III okresie (lata 1840-47), umieścić trzeba rozmowę z Ludwikiem Wołowskim, podaną przez Marję z Przeździeckich Walewską w książce „Polacy w Paryżu, Florencji i Dreźnie" (str. 57).

W przypisku na str. 315 tytuł pamiętników G. Puzyniny nieścisły: winno być „W Wilnie i w dworach litewskich", a nie „W Wilnie i dworkach litewskich".

Ustęp pierwszy rozmów, zanotowanych przez Wł. Mickiewicza (str. 329), mógłby chyba być opuszczony, jest bowiem niemal dosłownem powtórzeniem odpowiedniego miejsca (na str. 9) jego „Przedmowy".

W rozmowach z Edwardem Chłopickim, po w. 9 na str. 338 opuszczony jest cały dłuższy ustęp, dotyczący żywego interesowania się Poety Marylą, jej dorosłemi już dziećmi, a w szczególności talentem wokalnym najstarszej córki, Zofji (późniejszej Kalinowskiej). Pozatem, jeśli „Rozmowy" mają m. inn. na celu dostarczyć materjału do poznania ówczesnych upodobań i zainteresowań Wieszcza, to trudno się zgodzić na zastąpienie słów Chłopickiego: „Przypominam sobie, że najdłużej i z największem zajęciem rozmawiał wtedy ze mną p. Adam o rodzinie Wereszczaków" — przez suchą informację wydawcy: „Rozmowa zeszła na Wereszczaków" (w. 3).

Na str. 377 znajdujemy zdanie Mickiewicza o rządzie angielskim, podane ze słów Fr. Szemiotha w cytowanej już książce M. z Przeździeckich Walewskiej, nie uwzględniono natomiast poglądu Poety na piękno mowy staropolskiej, jakkolwiek wydrukowany on jest bezpośrednio wyżej na tej samej stronicy (nie może być, naszem zdaniem, wątpliwości, że chodzi tu o pogląd Mickiewicza, a nie samego Szemiotha).

Do rozmów z Henrykiem Służalskim (str. 458—9) z listopada 1855 r. dodać można nast. wcześniejsze zdania z jego listu, pisanego do L. Zwierkowskiego z Marsylji, z dn. 12 września tegoż roku (w przeddzień odjazdu na Wschód), a przechowanego w kopji L. Chodźki w jego „Roczniku" (Nr. 94, karta 29):

„Odbywamy tę podróż z Księciem Władysławem Czartoryskim, który jest bardzo nam łaskaw; a P. Adam Mickiewicz wyraźnie mi po parę razy powtarzał: że ten młodzieniec ma na sobie wielkie cechy męża, ku służbie naszej ojczyzny"... „Pan Adam kazał mi zdać rachunek z naszego odjazdu i z jechanki".

Pozatem nie znajdujemy w „Rozmowach" nast. pozycyj:

1) rozmowy z fotografem Szwajcerem w Paryżu, drukowanej w „Kronice potocznej i anegdotycznej" Wł. Bełzy (str. 216);

2) rozmowy, prowadzonej z niejaką Krystyną w czasie pogrzebu pewnego emigranta w Paryżu („Pamiętnik Tow. im. A. Mickiewicza", I, 192).

3) rozmowy z Alfredem Meissnerem (tamże, str. 193);

4) kilku zdań z artykułu St. Wasylewskiego „Ze stosunków Mickiewicza z Aleksandrem Fredrą" („Ruch Literacki" 1931, str. 176—7);

5) relacji Anny z Czapskich Breziny o rozmowie z Mickiewiczem, który opowiadał jej, skąd wziął pomysł do obrazu wyniosłej pary drzew (brzozy i grabu) w III ks. „Pana Tadeusza" (M. Rostworowski: „Do Pana Tadeusza", „Ruch Liter." 1930, str. 231);

6) dłuższych, ciekawych relacyj z przemówień Mickiewicza, broniącego się przed zarzutami rodaków w Rzymie, w r. 1848, ogłoszonych przez Wandę Odrowąż (Anielę z Kuszlów Walewską) w książce: „Kilka chwil we Włoszech", Poznań 1850 (str. 90—91 i 94);

7) wspomnień o rozmowach z Mickiewiczem krawca Jakóba, podanych przez L. Gadona w artykule: „Mickiewicz i Jakób Krawiec" (Ks. zbior. p. t. „Z ziemi pagórków leśnych"... W-wa 1899, str. 65);

8) kilku zdań Mickiewicza, zanotowanych przez Teodora Smolińskiego w jego, dotyczących 1848 r., „Wspomnieniach o A. Mickiewiczu" (Rps Nr. 44235 z dn. 26. VIII 1900 r. w Muzeum Narodowem w Warszawie);

9) zdania Poety o pieśniach ludowych litewskich, przekazanego przez Z. Komorowską w jej „Pamiętnikach" („Bluszcz" 1889, str. 90—91).

W końcu zaznaczyć wypada, że korekta tego tomu też miejscami szwankuje. Tak naprz., nazwisko prof. Groddka mamy napisane przez dwa (str. 254 w. 1) i przez jedno *d* (s. 255 w. 1 i 5), „dla" zamiast „do" (s. 256 w. 5), „na" zam. „za" (s. 265 w. 7), „zanował" zam. „zanotował" (s. 270 przyp. 2). Są to, oczywiście, wszystko drobne przeoczenia, ale jednak rażące nieco w wydawnictwie, pozbawionem erratów.

Zamykając te swoje uwagi, zdajemy sobie sprawę z tego, że żadna z przytoczonych wyżej a nieuwzględnionych w omawianym tomie rozmów nie zawiera w sobie jakichś rewelacyj. Częstokroć są to tylko krótkie „powiedzenia, odezwania się" Mickiewicza. Ponieważ jednak założeniem „Rozmów" jest zgromadzenie najdrobniejszych nawet okruchów słów Poety, przekazanych nam przez jego współczesnych, mamy nadzieję, że i ta garść naszych przyczynków znajdzie dla siebie miejsce w jakimś przyszłym „suplemencie" i uzupełni w ten sposób olbrzymi i niezmiernie cenny materjał, zebrany w tym tomie przez prof. Pigonia.

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

NA WIDOWNI

O planowem reorganizowaniu życia duchowego. — Czyj to plan? — Przyszła kolej na literaturę. — Charakter Akademji Literackiej i jej stosunek konstytucyjny do narodu. — Literatura na baczność.

PISMO nasze, poświęcone kulturze twórczości polskiej, ma dostatecznie uzasadniony powód interesowania się losami literatury. Była ona, jest i będzie instytucją narodową, opartą na prawie krwi, która tak a nie inaczej tętni i wypowiada się w dziełach ducha. Niewątpliwie potrzebne są urządzenia społeczne i pomoce materjalne, więc i Akademja Literacka, ale nikomu dotąd w krajach cywilizowanych do głowy nie przychodziło, aby pisarze sami za miskę soczewicy oddawali swoje prawo pierworodztwa, zawarte w przyrodzonej konstytucji zawodu.

Sąsiednia dziedzina twórczości: nauka potrzebuje znacznie więcej, niż literatura, pomocy materjalnej od ustroju społecznego (od państwa, czy też instytucyj prywatnych), ale w najgorszych nawet warunkach nie bywało mowy o wyrzekaniu się przez nią wolności. Sześćdziesiąt kilka lat temu zacny Józef Mayer, profesor antropologji na uniwersytecie Jagiellońskim, zabiegał u rządu austrjackiego o utworzenie Akademji Umiejętności i uzyskał ją. Ale przecież w statucie jej niema warunków, uszczuplających wolność pracy naukowej.

Upadek myśli twórczej, w którym tak zadziwiająco aktywny udział bierze „sanacja“, upadek kładący piętno wstecznictwa na dni nasze, sprawia, że taka sprawa, jak Akademja Literacka, interesuje nasz świat literacki głównie ze względu na skład personalny akademji i na zyski materjalne, jakie daje ona swym członkom. Zastrzec się muszę, że do tej strony zagadnienia mniejszą przywiązuję wagę. Oczywiście skład mógłby lepszy być, ale nie zdziwiłby gorszy od tego, jaki jest dzisiaj. Są tam ludzie różnej skali umysłu, talentu i kultury, są nawet bez walizki literackiej, ale są też uczeni tej miary, co Zieliński, członek wielu akademij. Wolałbym literaturę, którąby nie tak mocno akcentowała potrzebę manifestowania udziału żydów w naszej nowożytnej cywilizacji, ale czyż mam tutaj użerać się z „Tygodnikiem Ilustrowanym“, który się dopomina o miejsce w Akademji dla ideowego poety żydowskiego, Tuwima? Ten motyw wystarcza do podkreślenia faktu, do jakiego zwyrodnienia doszedł w Warszawie duch literatury polskiej w sto lat po Mochnackim. Tem większa zachodzi potrzeba mówienia o zasadzie; mniejsza o skład osobisty.

— — — — — — — — — — — — —

Jakież zasady znalazły się w podwalinach Akademji Literackiej i przyjęte zostały z uznaniem przez luminarzy literatury? W uchwale Rady ministrów, będącej aktem fundacyjnym Akademji, artykuł pierwszy brzmi:

„Pragnąc zapewnić literaturze polskiej należne stanowisko w życiu narodu, odpowiednie do jej wielkich zasług w podtrzymywaniu ducha narodowego w czasach walki o niepodległość, oraz wywyższyć ją jako narzędzie, poprzez które wypowiadu się dusza narodu w najbardziej idealnych pierwiastkach, jak również umożliwić pisarzom polskim oddziaływanie na społeczeństwo w kierunku wzmożenia poczucia państwowości polskiej oraz spółpracę z rządem nad budową świetnej przyszłości państwa polskiego, ustanawia się Polską Akademję Literatury.“

W szczególności w myśl ustawy tej Akademja ma:

1) reprezentować polskie piśmiennictwo artystyczne, 2) występować z inicjatywą poczynań, zdążających do podniesienia poziomu literatury polskiej i opieki nad literatami 3) współdziałać z rządem we wszystkich jego poczynaniach dla dobra kultury i sztuki polskiej, 4) wypowiadać opinję na życzenie władz państwowych o sprawach dotyczących języka, literatury i kultury polskiej, 5) przyznawać nagrody literackie oraz stypendja dla literatów, 6) podejmować wszelkiego rodzaju wydawnictwa, poświęcone rozwojowi polskiej sztuki literackiej, 7) wyróżniać utwory literackie i decydować o przyznaniu im kwalifikacji „odznaczone przez Polską Akademję Literatury.“

Akademików ma być 15, z tych pierwszych 7 zamianował rząd, a ci kooptowali pozostałych 8. Całą sprawę wziął osobiście w ręce prezes Rady Ministrów, Jędrzejewicz.

Cytowane wyżej słowa dokumentu będą z czasem powtarzane w podręcznikach historji literatury polskiej, jako charakterystyczne dla naszej epoki. Jest tam mowa o zasłudze literatury wobec narodu i jej misyjności narodowej w przeszłości a na przyszłość o obowiązku „współdziałania z rządem we wszystkich jego poczynaniach“.—Podstawą tej koncepcji jest równanie: rząd, równa się: naród. Żyjemy w czasach wulgaryzujących pojęcia, ale takiego uproszczenia solidny akademik nie wytrzyma—połamie się.

Stosunek do narodu jest wewnętrzny, do rządu rozmaity. Historja domowa narodu jest pasmem kłopotów, jakie on ma ze swemi zmieniającemi się rządami. Akademik dziś mianowany powie: nieprawda, to rząd ma kłopoty z narodem. Można i tak rzecz stawiać, ale, tak czy owak, lepiej tego kontrowersu do literatury nie wprowadzać. Literatura jest funkcją ducha narodowego, który—jak słusznie określił Maurycy Mochnacki—przez literaturę dochodzi do pełnej świadomości swego Ja. W interesie każdego rządu leży pozostawienie na wolnej stopie tego procesu uświadomień. Bo wtędy pozostaje czynnikom w państwie miarodajnym tylko umieć czytać, a poznają duszę narodu, to zaś bardzo ułatwia pracę rządzenia i zmniejsza tarcie, o którem wyżej była mowa.

Dlatego też wszystkie państwa oświecone pozostawiły i nauce i literaturze wolność wypowiadania się. I nikt nie wymyśli lepszego sposobu szukania prawdy. To, co się zmienia, co jest nieraz rzeczą tylko przypadku, musi orjentować się według tego, co jest stałe: fundowanie sobie kompasu, nastawianego palcem wedle upodobania, nie należy do przedsięwzięć dobrze przemyślanych.

Z pojęciem Akademika skojarzyło się pojęcie „nieśmiertelności“. Jakżeby wyglądała Akademja Literacka dzisiaj, gdyby ją—jak chciał Żeromski—założono już dawniej? Byłby z nią taki kłopot, jak z katedrami. Nie są czasy dzisiejsze obliczone na nieśmiertelność. Ze stanowiska potrzeb chwili bieżącej — zapewne — może się komuś uśmiechać okazja zafundowania sobie Akademji Literackiej na użytek podręczny, ale takie Himalaje dekoracyjne z tektury nie przysporzą powagi Polsce, w której literatura doniedawna była siłą realną, sprawującą rządy wewnętrzne.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Historja tworzonej obecnie Akademji wiąże się ściśle z całością poczynań „sanacji“ na polu

kultury polskiej. Plan ten wydał się tak doniosły, że jego twórcę wyniósł do naczelnego steru w państwie. Za podstawę zmian w strukturze społeczeństwa wzięto wychowanie publiczne, a więc reformę w szkolnictwie ogólnem i akademickiem. Zaczem przyszła kolej na inne dziedziny życia duchowego: religijną, naukową, literacką, artystyczną. Plan ten szczególną uwagę zwrócił na przejawy życia narodowego w sztuce. Nigdy za największego dobrobytu sztuka nie była otoczona taką opieką. Powstało np. Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej, które subsydjuje dwa w Warszawie teatry, a zaczęto od wystawienia „Dantona". Zrzeszenie obywatelskie, Tow. Muzyczne, ma teraz u steru jako prezesa wiceministra spraw wewnętrznych, wiceprezesem zaś jest Kaden-Bandrowski. Ten sam Bandrowski został dyrektorem rzeczonych teatrów. Sztuki plastyczne przeciwstawiły obywatelskiej Zachęcie Sztuk Pięknych świeżo założony „sanacyjny" IPS.

Co się tyczy literatury, Akademja ma być uzupełnieniem działającego nazewnątrz PEN-klubu i przeciwważnikiem dla Polskiego Instytutu Literackiego, który powstał za poprzedniego gabinetu w r. 1930.

Myśl przewodnia wszystkich tych poczynań wyrażona została w przytoczonym na początku artykule ustawy Akademji Literackiej. Tłumacząc ją wyraźniej, powiemy, że jest to dążność do przeładowania prądów twórczości z narodu na państwo. Póki nie było państwa, literatura miała swoją zasługę, że nie pozwoliła zamrzeć sercu narodu; dzisiaj przyszła kolej na służenie państwu bezpośrednio. Państwo nie jest narodowe — tu leży klucz do zrozumienia całej akcji. Ono służy wszystkim i nie może się ograniczać inspiracją jedynie narodu polskiego, raczej naród będzie inspirowany według potrzeb państwa.

Pomimo różnic, jakie panują w poglądach „sanacji", przeważa tam sposób myślenia marxowski, wyrażający się w nierozumieniu roli narodu w życiu społeczeństwa i państwa. Zasadniczym punktem nauki Marxa była awersja do pojęcia „naród", właściwa dążnościom Żydów i masonerji. Grupa „sanacyjna" wyszła przeważnie z tej szkoły; ideałem jej było państwo socjalistyczne, do którego prowadzi postęp życia społecznego. „Naród" należy do przeszłości, jako mit. Widzimy, jak trudno wyleczyć się ze skutków tej trucizny w doktrynie.

W ostatnich czasach, wobec wzmożenia się w Europie prądów nacjonalistycznych, na tę stronę przestarzałej doktryny położono szczególny nacisk. Za jedną z pilniejszych potrzeb uznano odcięcie życia umysłowego twórczego od źródeł inspiracyj narodowych. Akademja Literacka, w tym duchu pojęta, ma załatwić się odpowiednio do tych celów z literaturą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Realizatorem przebudowy ustroju duchowego dawnej Polski jest minister Jędrzejewicz. Warto też posłuchać, jak motywuje potrzebę wychowania państwowego literatury. W wywiadzie, urzędownie zakomunikowanym do pism sanacyjnych, p. Jędrzejewicz wyraża zadowolenie, że z Akademją poczekało się do tej pory. Dziś już niema, zdaniem p. Jędrzejewicza, punktów spornych:

„Dyskusja doprowadziła do znacznego ich uzgodnienia wśród świata literackiego, przedewszystkiem wytworzyła wreszcie zrozumienie istotnej potrzeby powołania do życia tej naczelnej reprezentacji artystów słowa, bez której w czasach, w których planowa organizacja życia tak doniosłą odgrywa rolę, brakowałoby elementu istotnie ważkiego w naszem życiu narodowem. Niezależnie jednak od powyższego względu fakt, że Akademja właśnie teraz zostaje utworzona, jest wyrazem głębokiego zrozumienia ze strony Rządu konieczności przystąpienia w kolei naszych zagadnień państwowych do zagadnień, związanych ze sprawami kultury duchowej. To pragnę ze specjalnym naciskiem podkreślić, jest bowiem mojem przekonaniem najgłębszem, że rozwiązywanie zagadnień politycznych i gospodarczych służyć musi zawsze i przedewszystkiem podniesieniu poziomu kultury duchowej społeczeństwa, której prymat w hierarchji wartości życia zbiorowego miałem okazję niejednokrotnie podkreślać."

Dowiadujemy się z tego wywodu po raz pierwszy, że realizowany jest w Polsce plan nowej „organizacji życia" i że Akademja jest w tym planie jednem z posunięć w dziedzinę „zagadnień, związanych ze sprawami kultury duchowej", a więc, że plan zmiany ustroju obejmuje całe życie duchowe Polski. Premjer zaznacza to, jak sam mówi, ze szczególnym naciskiem.

Twórcą tego planu, jak widać z całokształtu posunięć na terenie oświecenia publicznego, jest sam p. Jędrzejewicz. W jakiem środowisku plan ten dojrzał? Przecież nie można sobie wyobrazić, aby tak kolosalny plan, mający decydować o przyszłości Polski, mógł być dziełem jednostki. Czyż starczyłoby jej na to sił i odpowiedzialności? Jak w jego świetle ma wyglądać nowa Polska, zreorganizowana w swoich podstawach duchowych, o tem publicznie nigdy się dotąd nie mówiło. Opinja publiczna nie brała w tych nader ważnych decyzjach udziału. Być może Akademja, dopuszczona do współpracy z rządem, o tem się dowie, być może członkowie już są poinformowani, skoro plan ten zgóry akceptowali.

Na pytanie, jak sobie wyobrażać można współpracę Akademji literackiej z rządem, p. premjer przytoczył dla przykładu sprawę ułożenia ustawy bibljotecznej... Drugiem zadaniem wspólnem byłaby np. sprawa nauczania literatury w szkołach, „poprostu opinjowanie programów szkolnych". Pól styczności jednak będzie więcej, jak to łatwo zrozumieć po przeczytaniu siedmiu punktów, streszczających w uchwale Rady ministrów zadania Akademji. Akademja, będąca organem rządu, wydawać będzie opinje o wszystkich sprawach, dotyczących kultury. Sam przywilej, przyznany Akademji, podawania kandydatów do nagród, odznaczeń, zapomóg itd. oddaje personalnie pisarzy na pastwę polityki. Akademicy biorą na siebie misję nie tylko kulturalną, lecz przedewszystkiem polityczną.

Jeżeli w sprawach ustroju bibljotek i nauczania polonistyki akademicy mają głos zabrać, to zadaniem ich może być także motywowanie ograniczeń w spisach *librorum prohibitorum* (Dlaczego np. „Ogniem i mieczem" jest dla szkół książką niewłaściwą). Cały zresztą system polskiego „materjalizmu djalektyczego" może będą musieli wkrótce uzasadniać i publikować. Nie widzę bowiem, w jakimby innym kierunku mogło pójść organizowane na tych zasadach planowo życie kulturalne.

Jest to istotnie moment zwrotny w życiu ustrojowem Polski. I dlatego tyle miejsca poświęcam tej stronie zagadnienia, która członkom Akademji wydała się, jak widać, całkiem naturalną i ponętną.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

UNIWERSYTETY ZAWADZAJĄ, to jasne. *Régime* jest niedopasowany do uniwersytetów, nie umie z niemi współżyć. Jakaż jednak jest głębsza przyczyna tej niemożebności wzajemnego ułożenia stosunków? Minister oświaty deklaruje swoje pełne zrozumienie dla interesów kultury. Otwiera się uroczyście Akademję Literatury i jednocześnie zamyka się z powagą uniwersytet warszawski. Jakaż jest przyczyna niewspółmiernego traktowania obu akademij przez rząd, w rozumieniu swojem dbały o kulturę? Z pewnością niedogodne było, że z uniwersytetów odzywały się głosy niezależnej krytyki w stosunku do pewnych urzędowych poczynań. Zrozumiałe było, że chciano, przy pomocy stosownych zabiegów, te głosy krytyki stłumić. Nie wyjaśnia to jednak całkowicie antypatji *régime*'u w stosunku do ognisk nauki, zorganizowanych tradycyjnie. Istotna przyczyna jest niechybnie głębsza. Żyjemy w dobie wprowadzania skrajnych politycznych uproszczeń. Pojęcie narodu jest dla rządzących zbyt trudne, — wręcz zbyt ryzykowne, jako podstawa politycznego działania. Naród jest pojęciem wyższego znacznie rzędu, niż rząd i państwo. Te ostatnie dają się pomyśleć na najniższych nawet szczeblach politycznej kultury, naród zaś jest wytworem długich wieków europejskiej cywilizacji, i w gruncie rzeczy przedziwnym paradoksem. Podporządkowuje jednostkę, a przecież nie zabija jej indywidualnego życia; stanowi cel dla siebie, a nie jest przeszkodą do zorganizowania współżycia międzynarodowego. Wszystkie tradycyjne instytucje narodowe mają też w sobie coś z paradoksalności, z delikatności konstrukcji wewnętrznej narodu. Symplizmem potępienia godnym był zarzut, przez niektórych wysuwany, że walcząc w obronie autonomji uniwersytetów, obóz narodowy sprzeniewierzył się swym hasłom i stanął na gruncie liberalizmu. Walczy się nie o co innego, jak o nietykalność dóbr cywilizacji narodowej, z jej wytwornością, z jej paradoksami, bez których nie byłaby sobą. Wydaje się nam, że w tem właśnie leży istota rzeczy, iż obóz „sanacji", objąwszy rządy, nie mógł zawierzyć się cywilizacji, ale poczuł potrzebę wprowadzenia gwałtownych uproszczeń. Ludzie „sanacji", jak płanetnicy, wyrzuceni z chmury na ziemię, poczuli się zdezorjentowani na nowym dla nich gruncie paradoksów, tkwiących w pojęciu narodu. Pilnie uciekli się do pojęć zrozumialszych: państwa i rządu. Wszystkie tradycyjne instytucje narodowe ucierpieć musiały wskutek tego braku zaufania do podstawowej zasady. Egzystencja uniwersytetów, tak jak ją pojmowano w Polsce w wieku XVI, jest nie do pomyślenia przy prymitywiźmie pojęć Polski wieku XX. Długi szereg zarządzeń dopasowywał uniwersytety do wymagań *régime*'u; wreszcie w Warszawie skończyło się zamknięciem. Epizod symboliczny.

SPRAWA AKADEMJI LITERATURY w dalszym ciągu zajmuje uwagę publiczności. W zeszłym tygodniu wskazaliśmy na tem miejscu, że autorytet tej instytucji prawdopodobnie nie będzie wielki z dwuch powodów. Przedewszystkiem postulat współpracy z rządem, ściślej zaś: ze „wszystkiemi jego poczynaniami", utrudnił wejście do Akademji literatów, pragnących we własnych poczynaniach zachować niezależność. Po drugie, i co najważniejsza: wogóle literaci — twórcy nie są w chwili obecnej inspiratorami przemian w życiu umysłowem i obyczajowem kraju. Wiemy wszyscy, jak galopujące jest tempo tych przemian; ale odbywają się one prawie wszystkie właściwie poza strefą wpływów literatury, pisanej dobrą polszczyzną. Na czemże polegają te przemiany? Wykreśliliśmy się w ostatnich czasach definitywnie z liczby państw, należących do cywilizacji zachodnio-europejskiej, przez wyrugowanie z umysłów resztek pojęć o stałym jakimś prawno-publicznym ładzie. Postąpiliśmy także znacznie naprzód w wyniszczeniu tradycyj cywilizacji „szlacheckiej", w istocie polegającej u nas na idei dobrowolności służby sprawie publicznej. Poważne zmiany; ale ci, co ich dokonali, nie wzięli sobie bynajmniej za sojusznika dobrej polszczyzny. Odbyło się to wszystko bez suggestji czystego języka, a raczej pod suggestją nieczystego. Orędzia, wywiady, enuncjacje, mowy prokuratorów i oświadczenia ministerjalne w tym okresie intensywnej propagandy słownej, mającej przekształcić psychikę społeczeństwa, były bardzo nieszczególnemi wzorami stylistycznemi. To, co w tym czasie oddziaływało urzędowo, nie może rościć pretensyj do jakiejkolwiek literackiej wartości. Odezwania się min. Jędrzejewicza jako wzory kancelaryjnego języka są całkiem na poziomie doskonałości dyplomatycznych odezwań się min. Becka czy propagandowych nawoływań dyr. Stieglitz-Ścieżyńskiego z „Iskry". Cała, słowem, propaganda urzędowa, za cel wysików swoich biorąca społeczeństwo, niezależnie od swej treści ideowej, była przedewszystkiem propagandą nieporządnego, źle upaństwowionego, żydowsko-dziennikarskiego języka. Cokolwiekbądź zdziałano na tem polu, to pewna, że suggestje „państwowe" nie szły w tym czasie na społeczeństwo od strony literatury pięknej... Literatura była poza temi zmianami. Starał się Kaden, ale wątpliwe jest, czy nawrócił na „państwowy" sposób myślenia choćby jednego w Polsce „obywatela".

USZKODZENIE „ZACHODNIO-EUROPEJSKIEJ" I „SZLACHECKIEJ" CYWILIZACJI, nie było, ma się rozumieć, jedynym przejawem zmian, zachodzących w psychice społeczeństwa w tym czasie. Przeciętnego Polaka przestało interesować i obchodzić życie publiczne; mógł się zato bez przeszkody bawić np. „oryginalnem amerykańskiem: jo-jo". Zmiany w obyczaju energicznie szły jedna za drugą: ale dokonywały się o wiele bardziej pod wpływem złego języka ogłoszeń, niż za sprawą inpulsów, mających zródło w twórczości obecnych „akademików literatury". Mnóstwo „prądów" zmąciło w ostatnich czasach zastój życia, otamowanego śluzami szczególnych warunków politycznych. Ale wszystko to, od pacyfizmu do nudyzmu, od mody na elitę do mody na pyjamę, udzielało nam się od zagranicy. Żadnych zaś wstrząsów i przeżyć, chociażby tak gwałtownych, jakie dało jo-jo — nie dostarczyła społeczeństwu w tym okresie rodzima literatura. Wyjątkiem może się wydawać Boy-Żeleński, ale przecież jest on na naszym gruncie tylko propagatorem i roznosicielem idej obcych, i to gdzieindziej starych, nawet zwietrzałych. W istocie, jako agent obcy, wyjątkowy był tylko przez to, że nagabywał przyjemną i dobrą polszczyzną. Najbardziej rzutkimi kolporterami nowinek byli w tym

czasie literaci żydowscy, zwłaszcza skupieni koło „Wiadomości Literackich“, ale znaczenie tego faktu redukuje się dla polskiej społeczności do tego, że nowinki obce trawestował dla nas miejscowy, lecz też obcy, pośrednik. Podobnież na polu „twórczości“ literackiej imitacyjna rzutkość autorów żydowskich nie może wpłynąć na tezę o bezruchu ideowym, trwającym nieprzerwanie w polskiej literaturze pięknej. Jedynym ośrodkiem krążenia myśli, nie przyswajającym sobie idej zagranicznych w formie powtórzeń, był polski obóz narodowy. W Dmowskim posiada on swego koryfeusza — publicystę; ze śmiercią Kasprowicza stracił jednak genjalnego koryfeusza — poetę. Ale nawet najzagorzalszy zwolennik umysłowej autarkji w Polsce zdawać sobie musi dziś sprawę, jak mało tylko może konsumować pożywnego i smacznego z produkcji literackiej, wytwarzanej w kraju, a jak wielki stosunkowo pod tym względem jest dług jego wobec zagranicy. Bilans przekładów z literatury obcych, przygniatający listę pozycyj twórczości oryginalnej, a świeżo uprzytomniony szerokiemu ogółowi przez omówienie w „Roczniku Literackim“, wymownie też świadczy o tem, co biorą od zagranicy, za pośrednictwem zwulgaryzowanej literatury pięknej, szerokie masy, — żądne rzeczy ciekawych, obojętne na to, skąd je biorą. Bertrand Russell, Wells, Chesterton, Bernard Shaw, Aldous Huxley, Jacques Maritain, Mauriac, Gaxotte, André Gide, Papini, ależ byle Emil Ludwig, byle Feuchtwanger byli głównymi dostarczycielami wrażeń umysłowych dla czytelników w ostatnich latach dziesięciu... A pisarze sowieccy... Niewielki zaiste był wpływ akademickiej polszczyzny na wychowanie intelektualne społeczeństwo — w dobie dojrzewania pomysłu Akademji Literatury.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Antoni Waśkowski w dwu dziedzinach rozwija głównie swą twórczość: w epice i w dramacie. W obu zaś idzie widocznie śladami umiłowanych mistrzów: Słowackiego i Wyspańskiego. Za ich niewątpliwie przykładem napisał oktawą swe „Rapsody“ (wyd. Tow. ś. Michała w Miejscu Piastowem), w których wyśpiewał dzieje dwu Mieczysławów, Bolesława Chrobrego, Władysława II, Wł. Warneńczyka i Jana Kazimierza; myśl rapsodu o Chrobrym podsunął poecie sam Wyspiański. Treść każdego z rapsodów opowiedziana jest w pierwszej osobie, co również jest echem Słowackiego; jednakże Waśkowski nie „uzupełnia“ Króla-Ducha, owszem, staje jakby naprzekór ustalonemu tam porządkowi i poglądowi, prostuje je w imię ścisłości historycznej i nawiązuje wypadki dawne do chwili obecnej; cel ten wyrażony został w przedmowie p. t. „Rapsod śpiewa“. Rozważanie nad powstaniem Polski niepodległej, jej celami i charakterem są treścią szeregu innych jeszcze utworów danego zbiorku. „Zegar wielkich nowin“ jakby nawiązuje do słynnej apostrofy o dzwonie Zygmunta w „Wyzwoleniu“ oraz do finału „Akropolis“, skąd nawet przedostały tu się rymy: Wawelu-Kastelu, powtarzające się też w jednym z drobnych utworów. Wiersze „z notatnika wakacyjnego“, rytmicznie udatne, w stylu i słownictwie zanadto są koturnowe. Liryzm szczery i bezpośredni dźwięczy w cyklu „W mojej pustelni“, gdzie Waśkowski najbardziej jest sobą; w „Prostych drogach“ poeta najbardziej oddala się od dawnych swych wzorów, stara się o zbliżenie do prymitywu — niekiedy z wielkiem powodzeniem („Ku życiu“). Rzewny sonet „Klasztor OO. Reformatów“ ma niekiedy dobre efekty muzyczne (wiersz 3 i 4), a w cyklu „Z ziemi ubóstwa“ jest najlepszy.

Tragedja p. t. „Wikinda“ jest drugiem, przerobionem wydaniem „Kapłanki“, którą omawialiśmy na tem miejscu przed kilkoma laty. Przeróbki na dobre wyszły dramatowi; znikły pewne niejasne niedopowiedzenia, wzmogła się siła wyrażeń, katastrofa została głębiej umotywowana. Taki sposób przerabiania utworów w nowych wydaniach spotykało się u dawniejszych pisarzy nieraz (najbardziej z tego znany był poeta irlandzki Yeats). Dzisiejsi pisarze przeważnie sobie lekceważą słuszne głosy krytyki i mniemają, że tekst pierwszego wydania jest nietykalnem *tabu* (ileżby np. zyskała „Zazdrość i medycyna“ Choromańskiego, gdyby w świeżo ogłoszonem II wydaniu poprawiono miejscami polszczyznę autora). P. Waśkowski (co z uznaniem podkreślić należy) wolny jest od zarozumiałości; nie zamykając oczu na zdarzające się niedostatki swych utworów, stara się ich wystrzegać, a tem samem stawać na coraz to wyższym poziomie. Te też nowe opracowanie „Makryny“, dokonane z uwzględnieniem głosów krytyki, zasłużyło sobie na wystawienie w teatrze krakowskim. (J. B.)

*

Gospodarka naszych kolei wywołuje powszechną krytykę i niezadowolenie. Bardzo ciekawy materjał w tym zakresie zawiera broszura Bohdana Cywińskiego, nosząca tytuł: „Kolejnictwo polskie w dobie kryzysu“.

Wahania w pracy kolei, prowadzące do niedostatecznego wyzyskania inwestowanego kapitału, są jednem z ważniejszych źródeł nieracjonalnej gospodarki kolejowej. Znaczny odsetek kosztów stałych prowadzi do tego, że w okresach zmniejszających się obrotów koszty własne, obliczane na pasażera - kilometr lub tonnę - kilometr, bardzo wzrastają. Występuje to zwłaszcza wyraźnie w okresie dzisiejszego kryzysu.

Bardzo ważną pozycję w wydatkach kolei zajmują wydatki służby drogowej, które wahają się od 14% do 18%. Więcej niż połowa tych wydatków przypada na naprawę toru i utrzymanie nawierzchni — wydatki, niesłychanie trudne do skontrolowania. Prace te dokonywane są u nas bez żadnego planu, tak, że inż. Cywiński porównuje pracę drużyny torowej, zajmującej się naprawą toru, do spacerów wesołego zająca na polu koniczyny. Zakup materjałów, służacych do naprawy toru, jest źródłem marnotrawstwa. Charakterystycznym przykładem służyć tu może zakup podkładów w r. 1927/28, badany przez specjalną komisję sejmową, a który naraził Skarb Państwa na straty w wysokości około 15 miljonów złotych. Do zbędnych wydatków należy również utrzymywanie obsługi przejazdów. (J. P.)

*

Nowy numer pisma „Młody Polak w Niemczech“, wydawanego w Berlinie (K. W. Dorotheenstrasse 47) wypowiada wiarę w duchu narodowym i wolę „zabezpieczenia przyszłym pokoleniom właściwości historycznych“. Dalej artykuł o królu Janie Sobieskim. Wiersz Marji Konopnickiej „A za tego króla Jana“. Poczem rzewne wspomnienie o poecie ziemi górnośląskiej, Janie Nikodemie Jaroniu, autorze dramatu z początków XIII wieku p.t. „Konrad Kędzierzawy“, kiedy to po raz pierwszy rozstrzygały się losy Śląska, czy pozostanie polskim czy niemieckim. Tęsknota do Polski wyraża się w artykule krajoznawczym „Kresy wschodnie“, o znaczeniu kultury polskiej na tych ziemiach, przed wiekami dzikich i pustynnych. Ładna nowela Wł. Dunarowskiego „Ziarna na dłoni“. Pozatem wiadomość o życiu Polaków w obcych państwach.

(A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wyszedł VI-y tom notatek i wrażeń Maurycego Barrés'a (*„Mes Cahiers“*), obejmujący lata 1907 — 1908, w których wyszły znamienne dla jego rozwoju duchowego i twórczości dzieła, jak *„Colette Baudoche“*, *„La Colline inspirée“* i t. p. Tom powyższy przyczyni się do lepszego poznania ewolucji myśli znakomitego pisarza. (W. J.)

*

Księgarnia Plon'a wydała dwa tomy „Pamiętników Caulaincourt'a“ (*„Mémoires du Général Caulaincourt“*), których fragmenty drukowane były parę lat temu w *„Revue des deux Mondes“*. Pamiętniki te, podług zgodnej opinji fachowców, należą do najważniejszych, jakie istnieją o ostatnich latach panowania Napoleona. (W. J.)

*

W Berlinie, nakładem znanej firmy wydawniczej Reimar Hobling, ukazała się książka, napisana przez Wiktora Schaffrana p.t. *„Die Holzwirtschaft Polens“* (1932 s. 269). Książka zawiera szczegółowe informacje, dotyczące gatunków drzew, rosnących w Polsce, organizacji i zwyczajów, panujących w handlu drzewem w Polsce, wreszcie kierunków eksportu drzewa z Polski. (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

UGARLIŃSKIEGO wystawia stała mieszkanka Paryża, artystka, p. Nina Aleksandrowicz. Cechy jej talentu są zasadniczo szerszem i bardziej artystycznem rozwinięciem znamion, jakiemi natura często obdarza kobiety. Słyszałem, że artystka zajmowała się również komponowaniem lalek artystycznych, zabawek i t. p. faramuszek. Ten dar pomysłowości, robienia z niczego (kilka gałganków) miłych i gustownych cacek, zręczność i smak, takt w określaniu granic mistyfikacji artystycznej, wniosła malarka i w swoje płótna. Niewiele materjału, i tematycznie i formalnie rzecz biorąc, potrzeba malarce, by stworzyć rzecz, nie pogłębioną wprawdzie, lecz podaną zręcznie i z wdziękiem. Te kwiaty, kotki i pieski pekińskie, na złotych i srebnych tłach, nikomu nie dostarczą poważniejszych wzruszeń i wcale, zapewne, do tego nie mają pretensyj. Jako zadania malarskie są (powiedzmy to sobie na ucho) dość powierzchowne, ich miłą zaletą natomiast jest smak, z jakim zostały podane. Sądzę, że najwłaściwszym rodzajem wypowiedzi pozostanie dla artystki szkic, studjum, notatka; w każdym razie nie praca „wypiłowana". Gdy malarka zaczyna rzecz bardziej wykończać, traci ona swe dotychczasowe walory, nie uzyskując wzamian innych.

*

Jedną z sal Zachęty zajął Marjan Konarski. Był on doniedawna członkiem „Szczepu Szukalszczyków", teraz wystąpił z ich grona. Nie wiemy, jakie miał ku temy powody, w każdym razie nastawienie ideologiczne jego sztuki, jak również jej charakter zewnętrzny, każą nam umieścić Konarskiego tuż przy zespole Szukalszczyków. Plastyka jego ma charakter wybitnie młodzieńczy: używając tego słowa, nie mam bynajmniej zamiaru nadawania mu tonu protekcjonalnie - ironicznego. Przeciwnie, ta młodzieńczość, choć z niej właśnie wiele wad obrazów płynie, jest objawem sympatycznym. Młodość ta bowiem nie dowierza doświadczeniom przeszłości i pragnie wszystko sama nanowo wypróbować, choćby z narażeniem własnej skóry.

Oczywiście, w takiem podejściu do rzeczy nie ma racjonalnie oszczędnej gospodarki własnemi siłami, raczej czasem marnotrawstwo, zato jest zapał, głód poznania, pragnienie zmierzenia swych pomysłów ze swemi możliwościami i wogóle z możliwościami malarstwa. Sztuka w ten ambitny sposób przez twórcę traktowana, może jako taka nieraz nam nie odpowiadać, nieraz wydawać się wręcz nieznośną, lecz prawie nigdy nie przejdziemy obok niej obojętnie. Protest przeciwko dziełu jest także pewnym rodzajem nawiązania z niem kontaktu.

Konarski pragnie, aby z zestawienia form i barw na jego płótnach wypływał sens nietylko malarski, ale także inny. Czy ten drugi nazwiemy sensem literackim, „literaturą", jak dziś nieraz pogardliwie mówią malarze, to nie jest ważne. Trzeba tylko zaznaczyć, że nastrój i wyraz dzieł wielu naszych wielkich malarzy już się w ramie wartości malarskich nie mieścił, choć przy ich pomocy został osiągnięty. Temu warunkowi powinny zadośćuczynić wszystkie naprawdę poważne dzieła plastyki. I to oczywiście nie może być uważane za literaturę.

W innym wypadku, jeśli dzieło plastyka wyraźnie zezuje ku literaturze, a obraz przytem jest dobry, literatura mu zaszkodzić nie potrafi (nie zaszkodziła np. Malczewskiemu). Nawet gdy myśl malarza została wyrażona niejasno, pozostanie zawsze tęgie płótno. Trzecim wypadkiem będzie załamanie się koncepcji malarskiej, przy wtłaczaniu w ramy obrazu pomysłu, niemożliwego do wyrażenia środkami plastyki. Czwartym wreszcie i ostatnim—gdy artysta, zbytnio pochłonięty pozamalarską stroną dzieła, wysuwa ją przed walory plastyczne.

Te właśnie dwa: przewagę treści nad formą i chęć wypowiedzenia w obrazie pomysłów niewyrażalnych plastycznie stwierdzić, niestety, musimy w połowie prac Konarskiego. Pozatem artysta, który dał się już poznać, jako tęgi i subtelny zarazem rysownik, niewiadomo dlaczego począł teraz hołdować niemiłej manierze rysunkowej traktowania ciała ludzkiego niby kłębu schematycznie jednakowych bicepsów.

Koloryt miejscami, choć umyślnie, ale zbyt już ordynarny.

Wystawa „Dziesięciu z Krakowa" (w dużej sali Zachęty) do żadnych ciekawszych spostrzeżeń nie pobudza. Wyróżnia się tu Marcin Samlicki, staranny rysownik, inteligentny kolorysta i niezły kompozytor.

WIKTOR PODOSKI

NOWE KSIĄŻKI

Lud. Organ pol. Tow. Etnogr. Z ilustracjami. Lwów. Tom XI serji drugiej. 1933.

Sidney Filip. Obrona poezji. Przełożył Jan Swierzowicz. Lwów 1933. S. 108.

XXV-lecie Stowarzyszenia lekarzy polskich. 1906 — 1931. Warsz. 1933. S. 348 z portretami.

Lechita Cezary. Źródło kryzysu gospodarczego i bezrobocia. Środki naprawy. Grudziądz 1933. S. 91.

Krofta K. *Tchèques et Slovaques jusqu'à leur union politique.* (Odbitka z *„Monde Slave"* 1933, Dijon). Str. 65.

Ruch Literacki. Warszawa, wrzesień 1933.

Surzycki Stefan prof. Kartka z dziejów rosyjskiego wychowania państwowego w Polsce. Warsz. 1933. Odbitka z „Myśli Narodowej". S. 63.

Starzewski Janusz. Źródła wojskowe do dziejów Pomorza w czasach Ks. Warszawskiego, Cz. I. *Fontes* XXVI. Toruń 1933. Tow. Naukowe. S. 437.

Koczy Leon. Dzieje wewnętrzne Torunia, do r. 1793. Toruń 1933. Nakładem Magistratu m. Torunia. Str. 173 i w tabl.

Galon Rajmund. Krajobraz geograficzny Torunia. Tamże. S. 10.

Starzewski Janusz. Dzieje wojen Torunia. Do r. 1794. Tamże. S. 22.

Glemma Tadeusz X. Dzieje stosunków kościelnych w Toruniu, Tamże. S. 45.

Łęga Wład. X. Toruń i okolica w czasach przedhistorycznych. Tamże, S. 21.

Mańkowski Alfons X. Zarys dziejów Torunia po r. 1815. Tamże. S. 24.

Górski Karol. Historja polityczna Torunia do r. 1793. Tamże. S. 63.

Ignotus. *A la recherche de l'équilibre mondial. Le monde sans la Russie. Paris 1933. Nouvelles éditons latines.*

Wojciechowski Zygmunt. *Oswald Balzer et les problemes de l'histoire du droit polonais. Paris 1933.* Odbitka z *„Revue historique"*.

Wasilewski Leon. Skład narodowościowy państw europejskich. Warsz. 1933. Instytut badań spraw narod. S. 150 i mapa.

Lechicki Czesław. Z dziejów satyry polskiej XVI w. Lwów 1933. Nakł. autora. S. 71.

Kalinowski Kaz. Wiara w człowieczeństwo. Na marginesie „Szkiców" A. Szymańskiego. Warsz. 1933. Dom Ks. Pol. S. 16.

Janczarski Czesław. Akwarele. Poezje. Równe 1933. Księg. Michałowicz i Zieliński.

OFENSYWA

BUBLICZKA i PUBLICZKA

INFORMUJĄ nas z Krakowa (tym razem raczej znów z Pokrakowa), że znana *diseuse*, występująca pod pseud. „Hanka Ordon" ma w teatrze im. Słowackiego wystąpić w którymś z utworów... Słowackiego, czy też... Fredry, czy też... Krasińskiego. W Krakowie byłoby to niemożliwe, w Pokrakowie wszystko możliwe. Już tam podobno wystąpiła w jakiejś roli szekspirowskiej (*sic*), już miała grać podobno Psychę (*sic*) w „Erosie" Żuławskiego, a celem zapchania widowni na takiem dziwowisku szły pono specjalne tanie pociągi z Bochni, Kłaja, Milówki i Mościsk, aby mobowi z tych dziurek ponurych umożliwić oglądanie tych Dionyzyj. *Diseuse*, występująca pod pseudonimem „Hanki Ordon", miała pono sobie wyrobić u miarodajnych czynników taką „protegę", że na jej występki sceniczne w teatrze im. Słowackiego mają być uruchomione specjalne wycieczkowe pociągi od stolicy ze salonkami... Na wiosnę znów mają być „festivale" na Zamku wawelskim, gdzie ta pani ma odtworzyć postacie królowej Kingi czy też królowej Jadwigi, czy świętej Salomei.

W Pokrakowie wszystko możliwe.

Jak długo jeszcze będą trwały reklamowe orgje z tą panią Ordon? Czy niema sposobu spacyfikować tę znakomitość i poprosić jej managerów, aby stonowali nieco ordynarny harmider i wstrętną chryję, jaką z jej osóbką wyprawiają. Czy niema możności wpłynięcia na usanowaną dyrekcję krakowskiego teatru, aby w desperackich pomysłach zapychania widowni jednak nieco była wybredniejsza. Czy nasz kochany Osterwa ma tam jeszcze coś do powiedzenia, czy tylko kasjer, zapatrzony łakomie w Stradom i w Kazimierz?

Managery *diseuse* Ordon czepiają się już każdej brzytwy, żeby tylko ratować jeszcze zbankrutowaną firmę. Ordonka Warszawie znudziła się już do cna, z kretesem. Talent swój wyeksploatowała i wydusiła jak cytrynę. Ongiś, lat temu dziesięć, wszyscy byli jej fanatykami. Jest możliwe, że gdyby ta wysoce utalentowana *diseuse* była zachowała jako tako normalny artystyczny umiar, mogła była dzięki swej nowoczesnej sylwecie, *timbre* głosu i głównie kapitalnym tekstom, których jej dostarczali żydowscy poeci, przejść nawet zagranicę i tam jako *vedetta* zabłyszczeć w jakimś może nawet pierwszorzędnym *music-hall*'u. Próbowała podobno w Wiedniu, lansowana przez kartel protektorów, ale bez żadnego sukcesu, bo już w fazie nieuleczalnego zmanierowania i autoparodji. W Warszawie, gdzie bądź co bądź w teatrach rewjowych bywa publiczka, która gdzieś coś widziała i orjentuje się z europejska, ulubienica Ordonka stała się wprost niemożliwą. Bubliczkę publiczka nawet zaczęła przyjmować coraz chłodniej, wreszcie lodowato, denerwując się jej nadludzkiemi wysiłkami, monotonją trywialnej melodramatyczności i śpiewaczemi kiksami coraz to groźniejszemi. Terror przepłacanej klaki z Nalewek też irytował najcierpliwszych. Publiczka odetchnęła z ulgą, gdy Bubliczka dała wreszcie ostatni 165-ty pożegnalny poranek w cyrku czy w lunaparku. Zbierano dyskretnie nawet fundusz na wypadek, gdyby zabrakło na zagranicę, gdzie „Ordonkę" podobno oczekiwano ze zniecierpliwieniem. I wtedy któryś z managerów wpadł na *trick* z... Rebeką. Nie chcą już Bubliczki ni widzieć Arjo-goje i zeuropeizowani *aszkenazim*, to trzeba się odegrać na motłochu z Nalewek i zdobyć czarne sotnie zza Żelaznej Bramy. Reklamiarka, cierpiąca już na przewlekłą megalomanję, zdecydowała się na rolę nieukoronowanej „Królewny Izraela", Esterki, Salome. Jakaś wiedźma migowata i niepachnąca wlansowała w prasę żydowską takie wywiady Bubliczki, że „wszystko zawdzięcza żydom", „że śpiewa tylko dla żydów", że lada chwila pojedzie do Tel-Awiw, że z przekonania jest chalucką..., wentualnie gotowa nawet włożyć koronę Herodjady, gdyby wreszcie komuniści zwyciężyli w Warszawie. Kabotynizm wyranżerowanych *stars* nie zna żadnych hamulców, by się tylko jeszcze choćby konwulsyjnie utrzymać na powierzchni i „zbijać forsę".

Bubliczka straciła ostatnie resztki swojej publiczki ale poszła w mob, w motłoch, w masy azjatyckie, dla których i te konwulsyjne tańce świętego Wita, te wydzierania i zdzierania były w sam raz najwyższym koncertem i „Sztuką". Cyrk po tych „festiwalach" coprawda tak *passons le mot* śmierdział, że go trzeba było odkażać; w „Rebece" Bubliczce natomiast budziły się ambicje przywódczyni ludu wybranego, Judyty... w razie czego...

Holofernesem okazał się w praktyce Teatr Krakowski, gdzie galopująco gasnąca gwiazda znalazła dziewiczo prowincjonalny teren dla swych spazmów i orgiazmów. Tylko w tej znudzonej dziwnie, zszarzałej nędzy, biedzie i bryndzy mogły jeszcze imponować Bubliczki hecki i kiecki.

Dlaczego zaprzątamy tutaj uwagę czytelników jakąś „więdnącą szansonistką"? Otóż więdnącą? owszem, ale nie tylko „szansonistką". To był kiedyś prawdziwy wielki talent. Dla publiczki to było najwyższe *Cis* sztuki, nasza Yvette Guilbert. Po jego kompletnem samounicestwieniu się został teraz tylko symbol...

Symbol czego? Symbol bezgranicznej, satrapiej, tyrańskiej potęgi żydowskiej i zżydziałej naszej prasy. Ta potęga manifestuje się całkiem bezecnie w rzeczach doniosłych i w... *les bagatelles*. Pogląd na hitleryzm dają Polakom w całości, z opakowaniem i dostawą do domu... Żydy. *Les bagatelles*: Wyszła z mody ta Ordon. Widzowie nie cierpią, światu artystycznemu obrzydła, słuchacze płyt gramofonowych nie znoszą, poeci kabaretowi nie chcą dla niej pisać, bo twierdzą że wszystko partoli, kasy od lat już nie robi, klaka się buntuje.. A jednak, a jednak?.. Na powierzchni się trzyma, w kurjerkach nadal inseraty, film ją wybija na front... Dlaczego? Bo Żydy każą, bo Żydy grożą, bo Żydy wzięły ją pod patronat i protekcję, bo Żydy się uparły, że przeforsują i przetrzymają. I musi grać w Teatrze Krakowskim, jeżeli się jej spodobało, bo inaczej Żydy zbojkotują Osterwę i plajta. Pan kazał, sługi muszą, pociągi z Tarnowa pójdą, Psyche w „Erosie", nieco.. Koszer..! ale niech tam będzie.

Słowackiego atoli radzimy „Naszemu Wampowi" nie tykać. Najstanowczej! To już byłby tupet i arcy prowokacja *in summo gradu*. Nie jakiś ekskluzywizm! Nie, żeby artystce z kabaretu wogóle nie wypadało... Nic podobnego! Każdej innej raczej, jeżeli się okaże, że ma obok aspiracyj wyższych także i predyspozycje. Tylko w tym wypadku: nawet w Krakowie, w Pokrakowie.

W sąsiednich Niemczech na takich różnych prowokacjach nawet bardzo wielcy artyści dobrze nie wyszli.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Znakomity lekarz niemiecki, prof. uniw. berlińskiego Sauerbruch ogłosił w „*Klinische Wochenschrift*" list otwarty, zapewniający swych kolegów, uczonych zagranicznych, o szczerości dążeń pokojowych Niemiec hitlerowskich.

Bardzo znamienna „odpowiedź" na te wywody pojawiła się w „Warszawskiem Czasopiśmie Lekarskiem" (i w syjonistycznym „Naszym Przeglądzie"), pióra prof. uniwersytetu warsz. dr. Z. Szymanowskiego. Nie wspomniawszy ani jednem słówkiem oficjalnych oświadczeń niemieckich, domagających się polskiego Pomorza, oburza się on natomiast na to, iż rząd Hitlera „urządza auto-da-fe ducha i kultury, wypędza na głód i tułactwo dziesiątki tysięcy obywateli drugiej klasy", na „pozbawienie obywatelstwa niemieckiego Einsteina", na „zburzenie pomników Heinego i Lessinga" i t. d.

Prof. Szymanowski jest, oczywiście, żydem, w przeciwnym razie bowiem więcej, rzecz prosta, interesowałby go stosunek Niemiec hitlerowskich do Polski, aniżeli do żydostwa. Niedelikatne jest tylko, że jako cudzoziemiec tak skwapliwie wysuwa się do odpowiadania w kwestji, gdzie pierwszy głos przyzwoitość nakazywałaby pozostawić Polakom, i nietaktownie uczyniło „Warszawskie Czasopismo Lekarskie", użyczając swych szpalt jego wywodom, zanim jeszcze uczeni narodowości polskiej zdążyli wypowiedzieć się w tej sprawie...

*

Pan Skiwski w swoich fejletonach już cztery tygodnie przystawia się ze swym „pionem" do obozu narodowego i przysięga, że nigdy nie był pionierem tego obozu, a najlepszym tego dowodem jest jego *alibi*, miancwicie filosemityzm.

— No dobrze, dobrze— powiadają mu sanatorzy — wierzymy, wierzymy. Niech pan pionek weźmie się nareszcie do kielni; trzeba coś budować. Może pan co wymyśli...

*

Wielka radość w a-kadenji: Kaden Bandrowski ma nową posadę (już ósma — jak ten czas leci!). Mianowany został przez orkiestrę dyrektorem Filharmonji i honorowym generał-basem.

Każdy koncert będzie się rozpoczynał od Pierwszej Brygady.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.